№ 28. Warszawa, dnia 9 Lipca (27 Czerwca) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu,
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ.

Powody istotne wycieczki do Wiednia tak szybko na wierzch wypłynęły, że król Milan dał pokój udawaniu choroby i potrzeby wyjazdu do Gleichenberga, przyznawszy szczerze, że przybył z objaśnieniem zmiany ministeryum w duchu rosyjskim i prośbą o radę na kłopoty. Jak się tłomaczył i o co cesarza austryackiego błagał — ściśle określić trudno; zestawienie wszakże faktów widocznych i z osłon tajemnicy wydobytych upoważnia do wniosków, mających wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Następujące z tych faktów nie ulegają wątpliwości. Osobiście monarcha serbski nie lubi Rosyi, a natomiast ma wielką sympatyę do Austryi, a zwłaszcza ich władcy. Większość narodu wszakże żywi uczucia całkiem przeciwne. Odraza ku Austryi zrodziła się w nim pod wpływem ucisnień ekonomicznych i niedokładnego rozumienia ich źródła. Serbię duszą w swych szponach kapitały francuskie, niemieckie i austryackie. Comptoir d'Escompte, Länderbank oraz banki berlińskie pompują głównie monopol tytuniowy i koleje żelazne, podsycając w ludności nienawiść, która całkowicie wylewa się na Austryę, rzeczywiście najmniej tam czynną. Bo nawet co do Länderbanku trzeba przyznać słuszność jednej z gazet wiedeńskich, która powiada: „Naród serbski, jak wszystkie ludy stojące na nizkim stopniu oświaty, nie umie oddzielać interesów banku prywatnego od państwa, w którem on się mieści." Ów Länderbank jest instytucyą czysto prywatną, od rządu zupełnie niezależną, jeśli zaś idzie tylko o pochodzenie kapitałów, to również udział austryackich nie jest największy. Przytem, po bankructwie osławionej Union Générale, mnóstwo zrujnowanych arystokratów francuskich powędrowało i na serbskich kolejach żelaznych znalazło zyskowne posady. Tego wszystkiego ogół prosty nie rozeznaje a pobudzony przez agitatorów zwala całą odpowiedzialność na Austryę i poprzyjaźnionego z nią króla.

Do tych kłopotów politycznych przybyły Milanowi rodzinne. Zasadnie, czy nie, dość, że królowa Natalia zaczęła objawiać zazdrość, a walcząc z mężem o serce, powoli stanęła przeciw niemu w polityce. Rosyanka z pochodzenia nie mogła całkiem obojętnie patrzeć na odrazę męża do jej ojczyzny, a o ile prawdopodobnie poświęciłaby jego widokom swój patryotyzm w zgodzie, o tyle zaostrzała go w rozterce, zwłaszcza że partya Ristica nie zaniedbała tej waśni rozdmuchać i wyzyskać. Tym sposobem król serbski, mając przeciw sobie i naród i żonę, musiał powołać do steru człowieka, który utrwalił jego zachwiany tron i jedynie mógł go ubezpieczyć z obu stron. Ristic posiada zaufanie narodu i królowej, a przytem — jak wieść głosi — zobowiązał się dokuczliwą kłótnię małżeńską pomyślnie zakończyć. Rozwodem, czy pojednaniem — tego nie wiemy, ale przypuszczać należy, że jakieś obietnice w tym kierunku zrobił.

Naturalnie powrót jego do władzy zaniepokoił Austryę. Zaraz też Milan, dogadzając swoim życzeniom osobistym i pragnąc upewnić życzliwą sąsiadkę, że nie myśli palić za sobą dotychczasowych mostów, pospieszył do Wiednia, ażeby tam uspokoić obawy i zasięgnąć rady. Od kogo? Od cesarza, hr. Kalnokego i... ks. Bismarka. Chociaż kanclerz niemiecki ma być bardzo chory, zabronił przysyłać sobie na wieś wszelkich spraw, a w ostatnich czasach usiłował w naiwnych wmówić, że po za jego plecami dzieją się wypadki ważne, niewątpliwie depesza z Wiednia poleciała do Friedrichsruhe i wywołała odpowiedź. Odpowiedzi tej może nie pokazano nawet Milanowi, ale dano mu ogólną wskazówkę, która przypuszczalnie brzmiała tak: głośno utrzymywać dobre stosunki z Rosyą, po cichu szyć jej buty i słuchać dotychczasowej komendy austryackiej. Teraz więc król serbski, wróciwszy do domu, zacznie pływać między Scyllą a Charybdą.

Już i prasa rosyjska dostrzegła tę oddawna dla wszystkich widzialną prawdę, że ks. Bismark innym jest dla jej państwa pod maską, niż w masce, że na plewy jego ekonomów dziennikarskich łapać się nie należy. Nikt dziś już tam nie ufa lepkim słówkom urzędowych gazet pruskich, zalecających Serbii zgodę z Rosyą, bo pod ściegiem jawnym idzie kryty, który zszywa stosunki według innego kroju. Niemcy postarają się o to — jak mówi ich przysłowie — ażeby Risticzowskie drzewo zbyt wysoko nie wzrosło i zbyt głęboko nie puściło korzeni. Zresztą natura rzeczy je przytnie. Siejąc niechęć do Austryi i obalonego gabinetu, można było prawić ciemnym chłopom bajki, ale teraz trzeba im powiedzieć prawdę, że wyzysku ekonomicznego dokonywają kapitały francuskie i niemieckie, że Rosya pozostaje w przyjaźni z Francyą, że nakoniec ktokolwiek jest wierzycielem, dłużnik płacić musi. To gorzkie wyjaśnie-

nie rozczaruje serbów mocno do wybawiciela, mając zawsze w pogotowiu burzę, sami któregokolwiek dnia wypowiedzą mu posłuszeństwo, zwłaszcza że ono wspiera się zaledwie na 12 głosach większości w skupczynie. Ristics tedy nie stanął wobec zadania łatwego i nie przechyli się śmiało ku wschodowi, bo go liczne względy odciągać będą w stronę przeciwną.

Ale trudniejszem jest położenie króla, żeglującego między niebezpiecznemi skałami. Jeżeli nawet w czarniejszych chwilach napada go myśl o abdykacyi — dziwić się temu trudno. Skompromitowany wojskowo (w wojnie z Bułgaryą), nielubiany i lekceważony przez naród, znienawidzony przez żonę, tolerowany jedynie przez potężne państwo, z mocnym pretendentem do tronu na karku—w takiem osaczeniu owoce panowania już prawie przestają być słodkie, a cóż dopiero rojenie o unii z Bułgaryą!... Bardzo był wesół, kto tę unię zrodził i Milanowi podrzucił.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od wtorku znowu Bułgarya dzierżawi uwagę świata politycznego... W Tyrnowie zgromadziło się wielkie „sobranie“ dla rozstrzygnięcia ważnych spraw państwowych i wyboru księcia. Trudno odmówić regentom odwagi i energii. Ludzie ci od roku rządzą krajem śród gróźb i niebezpieczeństw, wisząc ciągle w powietrzu lub stojąc na wulkanie. Pomimo, że rząd i przedstawiciele narodu w sejmie pozostają ciągle pod zarzutem nieprawności, pomimo że im wyraźnie zabroniono wybierać księcia, sobranie zgromadziło się i ma wybrać władzę. Podobno najbardziej życzeniom ich odpowiada ks. Koburski (kandydat austro-niemiecki), nie licząc naturalnie Battenberga, który ciągle jest najbardziej pożądanym. Dopiero w końcu tygodnia bieżącego zapadną jakieś uchwały, na przyszły więc zaledwie będziemy mogli powiedzieć o ich naturze i nadziejach urzeczywistnienia się.

Skutkiem protestów Rosyi i Francyi zatwierdzenie umowy anglo-tureckiej przez sułtana uległo zwłoce. Padyszach godzi się już podpisać kontrakt, ale z warunkiem, że Anglia przyjmie obowiązek bronienia go od pragnących uskubnąć posiadłości tureckie z innej strony (Francya np. grozi zajęciem Syryi). Przyjąć taki obowiązek łatwo, ale spełnić go trudno, gdy wszyscy krytycy sił wojennych Anglii wykazują, że ona jest poprostu bezwładną nawet na morzu, nawet wobec samej Francyi. W ostatnich dniach przemknęła przez gazetę pogłoska, że Austrya, Włochy i Niemcy poparły ugodę. W takim razie wyglądałaby ona inaczej.

Cesarz niemiecki o tyle wyzdrowiał, że wyjechał do Ems. Ks. Bismark również stracił potrzebę udawania choroby i ze swego pajęczego gniazda przypatruje się muchom w sieci, duszonym przez sąd lipski za szpiegowstwo w interesie Francyi. Głównym oskarżonym jest obecnie niejaki Klein, którego zeznania i dowody ujawniają wywiadowczą działalność Schnaeblego. Z prawdziwem zadowoleniem teraz niemcy wykazują zasadność aresztowania komisarza francuskiego.

Rząd rosyjski wydał szereg rozporządzeń nowych. W taryfie celnej nastąpiły zmiany: (art. 14-ty) rudy metaliczne i mineralne prócz miedzianych i (art. 28-my) niżej wymienionych: grafit oraz ruda ołowiu w kawałkach — opłacają 7 kop. w złocie; (art. 163-ci) wyroby żelazne i stalowe roboty kowalskiej oraz lane bez opiłowania albo z opiłowaniem na brzegach i kantach lecz bez obrobienia; kotwice, gwoździe, dzwony i akcesorya dróg żelaznych oraz ich taboru — 120 kop. w złocie.

Od powołania z zapasów do armii, oraz od służby w rezerwie uwolnieni zostają: pomocnicy dyrektorów okręgów pocztowo-telegraficznych, poczmistrze i ich pomocnicy, zarządzający pocztami miejskiemi w Petersburgu, Moskwie i Warszawie, cenzorowie, zarządzający przewożeniem poczty na kolejach, ich pomocnicy i urzędnicy, przeznaczeni do wyjazdów, naczelnicy kantorów pocztowo-telegraficznych wszystkich kategoryj oraz ich pomocnicy, naczelnicy oddziałów telegraficznych, urzędnicy pocztowo-telegraficzni, odbiorcy stacyjni, nadzorcy na stacyach z odbiorem i wydawaniem korespondencyi, naczelnicy zarządów telegrafów miejskich w Petersburgu i Moskwie oraz naczelnik okręgu telegraficznego finlandzkiego a także ich pomocnicy; naczelnicy stacyj telegraficznych, telegrafiści, mechanicy, nadzorcy i pocztylioni.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA HYGIENICZNA.

V.

Nie potrzebujemy chyba zwracać uwagi na znaczenie, jakie posiada hygiena dla młodego pokolenia. Zarówno w kierunku fizycznym jak i umysłowym ma ona szerokie zastosowanie, a wychowawcy winni ją mieć na względzie przez cały ciąg pieczy nad swymi wychowańcami, w równej mierze nad niemowlęciem jak i kilkoletniem lub dorastającem dzieckiem. Pomieszczenie, pokarm, odzież, rozrywka, nauka wreszcie, wymagają ścisłego uwzględnienia jej przepisów: dobrze przewietrzany pokój z dostateczną ilością powietrza i światła, odzież lekka, a zarazem chroniąca od zaziębień, pożywne, łatwo strawne, w odpowiedniej ilości i we właściwej porze dostarczane pożywienie, rozrywka, mająca na względzie rozwijanie sił fizycznych, nauka podawana w przystępny i zajmujący sposób — oto są mniej więcej warunki, które koniecznie hygiena wychowawcza utrzymywać każe.

To też komitet pedagogiczny wystawy postanowił zaznajomić ogół ze wszystkiemi wyżej wspomnianemi zasadami, uwzględniając w swym programie: 1) hygienę niemowląt, 2) hygienę dzieci i młodzieży, 3) konserwowanie jej sił fizycznych.

Zbiór zasad hygieny wychowawczej, ułożony przez dr. Modrzejewskiego, wydrukowany na osobnych tablicach, rozmieszczono w budynku szkolnym oraz umieszczono w katalogu, okazy zaś, uzmysławiające teoryą, znajdują się w świeżo przez nas wspomnianym budynku szkolnym.

Budynek ten wykonany według planu inż. Rycerskiego, jest wzorem ochrony, czyli szkoły początkowej miejskiej. Położony w kierunku wschodnio-południowym, podzielony jest na dwie części długim korytarzem, przy którym znajdują się pokoje: od strony wschodniej klasy, szatnie i umywalnie, od zachodniej — pokoje dla nauczyciela, kuchnie i waterklozety. Przed budynkiem urządzone są ogródki Froeblowskie,

---

Wieczór z korespondentem.

Z OPOWIADAŃ FORBESA

podał

C. C. Schardt.

Londyn, w Lutym.

„Jeszcze jedno: postaraj się Pan w nadchodzący piątek mieć dla nas wolny wieczór. Zaprosiłem do siebie korespondenta wojennego gazety *Daily News*, sławnego Archibalda Forbesa, ażeby nam opowiedział coś o swoich przygodach. Liczę na pańską obecność. Prócz mojej rodziny i kilku osób z sąsiedztwa nie znajdziesz nikogo więcej

łączę serdeczne ukłony

Pański ***“

Czyżby Jego Przewielebność, prawdziwa ozdoba anglikańskiego kościoła, zaszczycając mię uprzejmem owem zaproszeniem, zamierzał przekonać swoich sąsiadów o okropnościach wojny takimi samymi sposobami, jakich używali spartanie, gdy chcąc unaocznić synom całą wstrętność i ohydę pijaństwa, spajali helotów? Jeśli to, a nie co innego miał na celu, to w rzeczy samej nie mógł wybrać osobistości stosowniejszej nad d-ra Archibalda Forbesa, którego dokładne i zdumiewające opisy krwawych wypadków w jakim półtuzinie wypraw wojennych wcielone zostały żywcem do dzieł historycznych. Zresztą ze wszech miar opłacało się spróbować apostolstwa na towarzystwie zapowiedzianem. Mnóstwo bowiem dymisyonowanych oficerów zamieszkuje wieś Jego Przewielebności, leżącą już po za granicami okręgu miejskiego, a więc i od podatków miejskich wolną. Jak zauważył jeden z moich przyjaciół, niepodobna wyrzucić z okna szlafmycy, ażeby nie trafić w jakiegoś generała lub przynajmniej wdowę po pułkowniku. Żywioł ten przeważał więc i w towarzystwie naszem.

Archibald Forbes wydaje się o wiele starszym, niż jest w istocie. Wysokiego wzrostu i krzepkiej jak pień postaci, posiada ramiona szerokie; na głowie z rodzaju tych, które nasi sąsiedzi-gallowie nazywają *tête carée*, cienkie włosy, nieco po wojskowemu przyczesane. Pod krzaczystemi brwiami błyszczy dwoje siwych oczów, jakie na płaskowzgórzu Szkocyi nie są wcale rzadkością; głęboko pobrużdżona, brunatna od wpływów pogody twarz, która częstokroć w zapale rozmowy przybiera trochę humorystyczny zakrój, sprawia, iż czyni on na widzu wrażenie człowieka stanowczego, nawykłego do szybkich działań, człowieka, który czuje się swobodniejszym i szczęśliwszym w surowem życiu obozowem, aniżeli w wytwornej bawialni, w otoczeniu wyfraczonych panów i wydekoltowanych dam. Być może, iż wyrządzam temu człowiekowi krzywdę, ale trudno: gdy się kto przez dziesięć lat tułał po polach bitw w trzech częściach świata, surowsze pierwiastki natury ludzkiej musiały w końcu zyskać w nim przewagę.

„Surowe bowiem i niszczące jest to życie, które przez ciąg lat dziesięciu wiodłem. Telegraf korespondentom dziennikarskim pracę niezmiernie utrudnił: po prostu zrewolucyonizował sztukę przesyłania wieści z placu boju. Dawniej mógł sobie korespondent po wypadkach dnia z całym spokojem ducha zasiąść przy ognisku i przygotować wiadomości, by ją oddać pierwszej poczcie, która zarazem zabierała doniesienia wszystkich jego kolegów. Dziś czytelnicy pism wymagają, by im całkowitą i zupełną relacyę z tego, co zaszło wczoraj, dostarczano przy pierwszem śniadaniu. Nadto dalekonośne strzelby nowoczesne, uniemożliwiając blizkie zetknięcie się walczących wojsk, utrudniają korespondentom zadanie na samem polu walki. Akcya rozpościera się na wielkiej przestrzeni. Musi on więc posiadać zmysł strategiczny, któryby mu wskazywał miejsce, gdzie pada rozstrzygający zapasy cios. Musi być teoretycznie i praktycznie wykształconym wojakiem, ażeby módz ro-

nad którymi dozór spoczywa w rękach uczniów.

Sale szkolne (dwie) są to obszerne pokoje, wysokie, dobrze oświetlone i z dobrą wentylacyą. Uczniowie mają zatem zapewnioną dostateczną ilość powietrza i światła. Rolety w oknach podnoszą się z dołu w górę, a to dlatego, ażeby zasłaniały od słońca, nie zaciemniając zbytecznie pokoju; przez górne odkryte szyby światło wpadać może. W górnej części okna umieszczony jest również dowcipny wentylator: szyby są tu poprzecinane w paski poprzeczne, umieszczone ruchomo tak, że przypominają i zastępują żaluzye.

Przy jednej z poprzecznych ścian znajduje się wzniesienie, na niem zaś katedra dla nauczyciela i tablice dla uczniów. Ławki dwusiedzeniowe, zastosowane do wzrostu uczniów, ustawione są odpowiednio: z początku w blizkości katedry nizkie dla młodszych, po za niemi wyższe dla starszych, a to dlatego, aby uczniowie pierwszych rzędów nie zasłaniali katedry i tablic siedzącym cokolwiek dalej. Ściany pozawieszane są tablicami z botaniki, zoologii, geologii i mapami geograficznemi, wziętemi z muzeum p. Babińskiego. Klasa wogóle urządzona jest zupełnie tak samo, jak w męzkiej prywatnej szkole p. Górskiego w Warszawie. Z boku w tej samej sali widzimy pomoce do nauki poglądowej, wystawione przez p. Weryho-Darewską. Już czteroletnie dziecko, zamiast bezmyślnych zabawek, dostaje w rękę nożyczki, tekturę z wyrysowanymi na niej wzorami, podług których wycina rozmaite figury, składa następnie i skleja pod okiem nauczyciela. Najpierwszą figurą otrzymaną w ten sposób jest sześcian, dający możność zapoznania się z głównymi wymiarami geometrycznymi. Za pomocą sześcianu można objaśnić, co jest bryła, płaszczyzna, linia, punkt wreszcie, dalej kwadraty, kąty proste itd. Po pokazaniu dziecku sześcianu, trzeba zapoznać je następnie z równoległościanami, ostrosłupami itp. Skoro już z kształtami tymi dobrze się obezną, przystąpić może do modelowania z gliny. Urabia najpierw kule, uderzając nią z dwóch stron o stół i potaczając następnie po stole, otrzymuje walec. Uderzając kulą ze stron sześciu, otrzymuje sześcian, spłaszczając odpowiednio ściany walca, urabia różnego kształtu pryzmy. Dla urozmaicenia, zamiast prostych, nic nie mówiących figur powyższych, z kuli robi jabłka lub wiśnie (można mu nawet farby dać w rękę), z walca — studnie, ule, drzewa itp. Niemniej pouczającem jest robienie z patyczków, zapomocą wiązania ich nitkami, rozmaitych koszyczków, pudełek ramek itp.

Obok zajęć powyższych dziecko powoli zaczyna wprawiać się w rysunek: najpierw rysuje na kropkowanym kajecie linie pionowe, następnie poziome, łączy je dalej z sobą w kwadraty, równoległoboki, aż do figur bardziej złożonych.

Równocześnie uczy się rozpoznawać owoce i ziarna rozmaitych roślin, przechodząc następnie do opisów systematycznych. Ułatwiają to bardzo starannie ułożone tablice, których jednak, niestety, u nas nie wyrabiają jeszcze, sprowadzając w części z Wiednia, w części z Petersburga. Na każdej z tych tablic widzimy jeden gatunek jakiejś rośliny, np. orzech. Jest tu i liść i kora i kwiat i owoc, są uwidocznione korzyści: drzewo używane na meble — jest zatem kawałeczek politurowanego i surowego drzewa orzechowego; z owoców wyciskają olej, i ten jest przedstawiony we flaszeczce. Dodajmy dla jasności, że wszystko okazano w naturze, nie na rysunku.

Skoro dziecko zapozna się w ten sposób z więcej znanymi gatunkami drzew i roślin, z sosną, brzozą, wierzbą, lipą, zbożami, lnem, konopiami, bawełną itd., będzie już wiedziało, jak i z czego wyrabiane są sprzęty, skąd się bierze jego pożywienie i odzież.

Dzieci cokolwiek starsze (9—10-letnie), mogą już same zbierać zielniki, trzeba jednak, żeby niemi w tem zajęciu również ktoś umiejętny kierował. Mogą także zająć się zbieraniem owadów i uczyć się je rozpoznawać. Do tej czynności dziecko powinno być zaopatrzone w odpowiednie przyrządy — siatki do chwytania, blaszane pudełko z drucianą pokrywką, ułatwiającą dostęp powietrza, flaszeczkę z eterem i trochę waty. Ostatnie dwie rzeczy potrzebne są do uśpienia owadu, jeżeli chodzi o zachowanie go na czas dłuższy. Dawniej dla zabicia owadu zwykle przekłuwano go szpilką; podobny sposób, jako męczący zwierzę, nie powinien być przez dzieci używany; zastępuje go doskonale trochę eteru na wacie: owad po paru sekundach umiera.

Wszystkie zajęcia wspomniane są nadzwyczaj pożyteczne dla umysłu dziecka. W zabawie zapoznaje się ono dokładnie z całem swojem otoczeniem, nabywa pojęcia o pierwszych zasadach rozmaitych nauk — botaniki, zoologii, mineralogii, geometryi itp.

Stół następny zajęty jest przez wystawę sekcyjną. Widzimy tu przyrządy, ułatwiające pojęcie pierwszych zasad arytmetyki, jak: sześcian podzielony na części, unaoczniający np. $^1/_2$, $^1/_4$ lub $^3/_4$ funta towaru, dalej walce na drutach dla zrozumienia ułamków, druciki pojedyncze, powiązane w pęczki, zawierające po sztuk 10, takież po sztuk 100, ułatwiające pisanie liczb i zamianę jednostek niższego gatunku na wyższy i odwrotnie przy dodawaniu i odejmowaniu. Dalej mapa z gipsu do geografii fizycznej i rozmaite pomoce dla ociemniałych, wystawione przez p. Nowickiego, jak przyrządy do pisania, mapy, na których granice, rzeki, góry, miasta, są oznaczone drucikami lub sztyfcikami. Ponad stołem pozawieszane są plany wzorowych szkół zagranicznych i warszawskiej p. Górskiego.

Szczególną uwagę zwraca w tej sali 10 fotografij chłopca, wykazujących skutki złego trzymania się przy pisaniu. Siedzenie za daleko od stołu, na krześle za nizkiem lub za wysokiem, pisanie na rogu stołu lub też z opuszczonym łokciem — powodują skrzywienia kręgosłupa, które, jeżeli się powtarzają częściej, mogą spowodować garb boczny.

Druga sala szkolna mieści okazy, będące w związku z hygieną niemowląt. Są tu rozmaitego rodzaju smoczki, mączki pożywne, dalej wełniane kolderki i ubrania, wagi do ważenia dzieci, czepeczki itp.

Całą kolekcyę dziecinnych czepeczków, używanych przez włościan rozmaitych okolic kraju, przedstawił dr. Dudrewicz, a także tablicę pomiarów dzieci co do ich wzrostu. Dowiadujemy się z niej, że dzieci żydowskie wogóle są daleko mniejsze od chrześciańskich. Ciekawe są również tablice dr. Suligowskiego z Radomia, zawierające wyniki pomiarów uczniów gimnazyalnych, wykazujące wzrost ich, wagę ciała, objętość klatki piersiowej i siłę wzroku.

Na środku sali stoją modele ławek dziecinnych do domowego użytku, oraz stoliczki z pulpitami do oglądania obrazków. Dają się one zastosować do każdego wzrostu i to jest ważną ich zaletą.

Boczne sale ściany zajęte są przez wystawców zabawek i gier dziecinnych, oraz przez okazy warszawskiej Szkoły rzemiosł. Jest to druga szkoła, stosująca u nas obok zajęć naukowych t. z. slöjd szwedzki, tj. prace rzemieślnicze, wyrabiające zręczność ręki i pewność oka. Pierwszą była szkoła w Sokalu (w Galicyi), gdzie nauka jest prowadzoną na większą skalę i posiłkuje się

---

zumieć ruchy wojsk i należycie je tłomaczyć. W ogólności korespondent wojenny winien posiadać zalety, które rzadko kiedy łączą się w jednym człowieku. Powinien znać wszystkie języki europejskie, władać nimi ustnie i piśmiennie; z pół tuzina narzeczy azyatyckich; znajomość żargonu sudańczyków, zulusów i buszmenów również jest pożądaną. Powinien umieć, gdy zajdzie tego potrzeba, radzić sobie ośm dni bez żywności i snu. Musi posiadać zdolność pozostawania dzień i noc bez przerwy na siodle i przebywania setek mil, dzielących go od najbliższego biura telegraficznego. Musi odznaczać się cierpliwością kobiety i stanowczością mężczyzny. Musi posiadać talent czytelnego pisywania doniesień swych na siodle i oddawania ich gamoniowatym telegrafistom. O szybkości, z jaką czytelnikom dostarczane bywają depesze wojenne, może dać wyobrażenie następujący fakt. W ostatniej wojnie afgańskiej odesłałem wiadomość o wzięciu twierdzy Ali Medżyd, bronionej przez Afridisa w wąwozie Khyber, o godzinie 10 zrana. W Londynie otrzymano depeszę o 8 rano, czyli wtedy właśnie, kiedy podług tamecznego zegaru powinna była odbywać się walka; stamtąd wysłano depeszę do New-Yorku, gdzie też wyczytano ją już o godzinie 7 zrana w drugiem wydaniu dzienników miejscowych; o 6 nadeszła do San-Francisco i mieszkańcy miasta pod Złotym Rogiem mogli dowiedzieć się z gazety porannej o wzięciu twierdzy, na dwie godziny przed czasem, w którym wedle miejscowego zegaru powinno było przypaść starcie."

„Wogólności czytelnik dzienników przy śniadaniu wie daleko lepiej, co się dzieje na przodzie armii, niż korespondent a nawet generał. Przed przejściem Dunaju siedziałem pewnego ranku ze Skobelewem w jaskini na południowym brzegu rzeki, ażeby obserwować turków. Skarżył się on przedemną na niemożność obliczenia rozłożonych po przeciwległym brzegu sił nieprzyjacielskich, chociaż londyńscy czytelnicy gazet są o tem jaknajdokładniej powiadomieni. W tej chwili właśnie granat pękający uderzył w muł nadbrzeżny o kilka kroków od nas, a wybuchając obryzgał generałowi oczy i usta wilgotną ziemią, tak iż ten nie mógł snuć dalej swojego rozumowania. Podczas wojny arcykomiczne i wysoce tragiczne zdarzenia gonią się wzajemnie. Jedno z podobnych skojarzeń przypominam sobie z zarania wojny niemiecko-francuskiej. Było to w Saarbrücken, w r. 1870. Z kilkoma jeszcze towarzyszami-dziennikarzami mieszkałem w hotelu, za miastem, obsadzonem przez słaby garnizon pruski. Były to dnie niespokojnego oczekiwania. Za łańcuchem wzgórz miał się ukrywać korpus francuski, a może i cała armia. Wówczas przybyła do naszego zajazdu młoda dziewczyna; jechała ona do swojego narzeczonego, który był sierżantem w batalionie saarbrückeńskim. Radziliśmy jej, ażeby połączyła się ze swoim ukochanym przed rozpoczęciem batalii. Propozycyę przyjęto z radością, a pułkownik dał swoje przyzwolenie, z tym wszakże warunkiem, że na pierwszy odgłos trąby sierżant wróci na swoje stanowisko. Znalazł się i duchowny dla odprawienia ceremonii. Myśmy byli w orszaku ślubnym i ksiądz zamierzał już połączyć dłonie obojga kochanków, gdy w tem zagrała trąbka. Francuzi szli na Saarbrücken. Sierżant pochwycił swój pas, zapiął sprzączkę i zniknął. Mieszkańcy hotelu z ogromnym pospiechem pochowali się w piwnicach, albowiem kule trafiały w dach. Jedna uderzyła właśnie w komin kuchenny i pękła, tak, że całe jadło weselne rozprysnęło się po kuchni. W kilka dni później narzeczeni znaleźli się znowu razem; prusacy wysunęli się z miasta i uroczystość, przerwana przez kule francuskie, odbyła się teraz w porządku, jakkolwiek bez świątecznej uczty. Natychmiast potem zahuczały piekielne harce wojny. Było to po bitwie pod Spichern, gdy przechodziłem przez pole zasłane trupami prusaków. Tam znalazłem i naszego sierżanta, pana młodego z Saarbrücken. Został ugodzony kulą w piersi; w ręku trzy-

już własnymi, nie szwedzkimi modelami. Serya takich modelów wystawiona jest w sali zajętej przez bibliotekę.

Zebraniem i usystematyzowaniem biblioteki zajął się dr. Peschke, a nagromadził okazy jedyne w swoim rodzaju. Widzimy tu zielniki jeszcze z XVI wieku, np. „O ziołach tutejszych i zamorskich i mocy ich“ z r. 1556 Spiczyńskiego, inne Siennika z r. 1568; zbiór praktycznych rad i wskazówek, dziełko, którego tytuł podajemy w całości: 1) O ziołach i mocy ich, 2) O rzeczach zamorskich, 3) O zwierzętach, ptakach i rybach, 4) O kamieniu drogim, 5) O rodzeniu matek, 6) O nauce gwiazdecznej, 7) O stawianiu baniek i puszczaniu krwi, 8) O radzeniu czasu powietrza morowego, 9) O doświadczonych lekarstwach czasu niemocy, 10) O nauce balwierskiej — i inne ciekawe i nadzwyczaj rzadkie okazy. W gablotach następnych zebrane są kolejno zabytki piśmiennictwa lekarskiego z XVII, XVIII, XIX w. aż do najnowszych.

Sala biblioteczna przeznaczona jest w planie budynku na pokój dla nauczyciela. Druga podobna mieści okazy biura technicznego pp. Mateckiego i Obrębowicza, wystawiających: wanny, umywalki, waterklozety, wentylatory, piece do ogrzewania itp.

W tejże samej sali znajduje się piec dezinfekcyjny, taki sam, jaki od roku funkcyonuje w Instytucie Maryjskim. Przedmioty, mające być dezinfekowane, kładą się na ruszcie żelaznym, pod którym tkwi kocioł z wodą, ogrzewaną z pod spodu. Para dezinfekuje dokładnie, zabijając zarazki, będące przyczyną zanieczyszczenia.

Miejsca ustępowe urządzone zostały przez firmę Trecheińskiego na wzór takichże w szkole p. Górskiego.

W pokoiku przeznaczonym na kuchnię urządzono infirmeryą: łóżka oddzielono drewnianą przegrodą, pościel zaś na nich składa się z drucianego materaca, kołdry z waty torfowej, drugiej kołdry letniej i poduszki. Tutaj spotykamy aparat Wolffa, mający za zadanie umożliwić choremu oddychanie powietrzem wprost z ulicy, a to dlatego, aby nie potrzebował wchłaniać niemiłych zapachów kwasu karbolowego np. lub jodoformu. Bardzo praktycznym on nie jest; wymaga bowiem pewnej wprawy w użyciu, mianowicie wdychania nosem a wydychania ustami; zresztą ciągłe trzymanie pod nosem obcego ciała, a mianowicie wylotu rurki, komunikującej się z powietrzem zewnętrznem, przyjemnem być nie może.

Sala przeznaczona na szatnię zajętą jest przez przyrządy gimnastyczne, przybory do fechtunku, konnej i welocypedowej jazdy oraz wioślowania.

Ciekawe są przyrządy do gimnastyki szwedzkiej d-ra Sandera ze Sztokholmu, mające za cel wyrabianie oddzielnych grup mięśni. Cena ich jednak (kolekcya kosztuje 4,000 rs.) jest nieprzystępna.

Inne przyrządy gimnastyczne, wystawione przez pp. Graffa, Majewskiego i Olszewskiego, umieszczono na placu przed budynkiem, gdzie dziatwa pod kierunkiem wspomnianych nauczycieli gimnastykować się może. Opodal nieco przeznaczono miejsce na rozmaite gry i zabawy, jako to kręgle, lawn-temuus, krokiet itp. Szkoda wielka, że brak napisów w języku polskim oraz polskich nazw.

Widzimy zatem, że program hygieny wychowawczej wypełniony został wyczerpująco, za co należy się uznanie dla komitetu, w skład którego weszli: prof. Jurkiewicz, dr Jasiński, dr Modrzejewski, dr Dudrewicz, Dynowski, Górski, Goebel, Jurgielewicz, Kuehn, Krzeczkowski, Łagowski, Nowicki, dr Przybylski, Rycerski i Wiślicki.

BADANIA NAUKOWE.

A. Meyer et G. Ardant. *La question agraire. Etude sur l'histoire politique de la petite propriété.* Paryż, 1887.

Przed pojawieniem się jeszcze w obiegu księgarskim tego dzieła, wywołało ono u nas wyjątkowe zaciekawienie, a dość namiętna polityka, prowadzona za i przeciw poglądom autorów, zwróciła na nie uwagę ogólną.

Zauważyć tu należy, iż pierwsza krytyka o *Kwestyi rolnej* napisana została w dość oryginalny sposób. Mianowicie ktoś, nie zadawszy sobie trudu przeczytania samej książki, a ze sprawozdań zasłyszawszy coś o tem wielce interesującem dziele, w którem obszernie wyłożono dzieje małej własności w Polsce, wyprowadził wnioski i poglądy wręcz przeciwne wyznaniu wiary autora. Przedstawiono Meyera jako nieprzyjaciela kościoła i arystokracyi, a szczególniej jako pisarza, któremu historya Polski przedrozbiorowej zupełnie jest nieznaną. Gdy przytem krytyk błędów historycznych, w jakie praca ta obfituje, nietylko nie sprostował, lecz je własnemi pomnożył, wytworzyła się stąd dziwaczna mięszanina, którą i ogół i pewne stronnictwa uznały za rzecz pozbawioną wszelkiej wartości.

Tymczasem powierzchowna nawet znajomość poprzednich dzieł Meyera łatwo mogła przekonać, iż pisarz to skrajnie konserwatywny i klerykalny. Nie wiedziano jednak o tem i z tego powodu byliśmy świadkami arcyzabawnego widowiska, mianowicie, rzucania się i potępiania przez konserwatystów człowieka, który częstokroć z fanatyzmem bronił zasad i interesów zachowawczych.

Ale przejdźmy do książki. Jej autor jest jeśli nie twórcą, to najwybitniejszym apostołem socyalizmu chrześciańskiego. Według niego, ludzkość na chwilę tylko — w pierwotnych czasach chrześciaństwa dążyła do ideału, niebawem wszakże prawa międzynarodowe, publiczne i prywatne, wyzwoliwszy się z pod tego dobroczynnego wpływu, przez cały szereg wieków reformowały się w ten sposób, że dziś czasy balwochwalstwa wróciły w całej pełni, a w imię walki o byt ludzkość zatraciła w sobie najszlachetniejsze instynkty. Dla Meyera ideałem jest własność, której posiadanie w ręku gminy, kościoła lub korporacyi zapewnić może równowagę i zdrowy rozwój społeczeństw. Pomimo wielu poglądów, na które godzić się nie możemy — jak np. nawoływanie do zwrócenia klasztorom i duchowieństwu dóbr, które on w tem posiadaniu uważa jako ojcowiznę biednych (!!!) — uznać w nim należy gorliwego obrońcę ludu i serdecznego opiekuna nędzy. Dla niego mała własność ziemska to najpotężniejsza dźwignia dobrobytu społecznego. Zawzięty nieprzyjaciel kapitalizmu marzy o własności komunalnej, o zwierzchnictwie kościoła i panowaniu zasad konserwatywnych. Przyklasnąć mu tylko można, gdy mówi o klęskach, jakie wolność uruchomienia gruntów wywołała, gdy chcąc drobnego posiadacza ochronić przed wyzyskiem kapitału, zaleca tworzenie majoratów włościańskich.

Poglądy te jednak zarysowują się tu tylko szkicowo. Obszerniejszy ich rozbiór pozostawia sobie Meyer do następnych tomów dzieła, w tym zaś kreśli historyę polityczną małej własności ziemskiej w Chinach, Grecyi, Rzymie, cesarstwie Bizantyńskiem, Irlandyi, Polsce i Rosyi.

Naturalnie nie pójdziemy za autorem w przedstawieniu dziejowego rozwoju małej własności w innych krajach, lecz ograniczymy się do zaznajomienia czytelników

---

miał obryzganą krwią swego serca fotografię żony, na której spoczywał gasnący jego wzrok.“

„W kampanii bułgarskiej miałem za towarzysza Villiersa z *Graphic*. W Bukareszcie najęliśmy sobie powóz zaprzężony we dwa konie. Jeden z nich był ślepy. Okoliczność tę właściciel rumaka podnosił jako wielką zaletę, zwierzę bowiem w natłoku nie lękało się. Skrzynia na rupiecie służyła nam za wóz, w nocy zaś—za łóżko. Nasz kucharz Andrzej, prawdziwy artysta w swym zawodzie, trapiony był zawsze obawą śmierci głodowej i dlatego zapełnił wehikuł żyjącym drobiem. Ptactwo więc służyło nam za towarzyszów snu. W tym charakterze jednak nie zasługuje bynajmniej na pochwałę. W tej samej wyprawie poznał on osobiście cesarza rosyjskiego Aleksandra II. Miał on wówczas główną swą kwaterę w najlepszym domku wioski bułgarskiej, na północnym stoku wąwozu Szypka. Było to nędzne pomieszczenie. Ignatiew, z którym łączyła mię bliższa przyjaźń, dał mi znak, że wyżej, w Bałkanach dojdzie do stanowczej walki o wąwóz. Pospieszyłem więc, co koń wyskoczy, w góry. Posiłki, artylerya i piechota nadciągały w tym samym kierunku. Gromady uciekających rodzin bułgarskich, przeważnie z kobiet z dziećmi na rękach złożone, spotykaliśmy po drodze. Cierpiały one niewysłowioną niedolę. Wojna jest i dla mężczyzn klęską okropną ale gdy nas przeszyje kula, padamy przynajmniej na stanowisku. Z kobietami dzieje się tysiąc razy gorzej. Przypatrywałem się rozpaczliwym zapasom rosyan i turków na krawędzi góry, do chwili, kiedy zwycięztwo obrońców zdawało się zapewnionem. Wtedy o godzinie 6-ej wieczorem skoczyłem na konia i pomknąłem do głównej kwatery, ażeby stamtąd podążyć do najbliższej stacyi telegraficznej w Bukareszcie. Ignatiew czuwał. „Co pan tu robisz, panie Forbes?, myślałem, żeś w górach?“ Objaśniłem zdumionego dyplomatę, że obecny byłem walce a teraz jestem w drodze do Bukaresztu. Zwycięstwo w rękach rosyan. „Musisz pan to sam zameldować cesarzowi“ — zawołał Ignatiew, „dotąd bowiem jeszcze gońca z wiadomością nie było.“ Opierałem się, odzież moja była w okropnym stanie. Pierwotnie białe ubranie przez dni czternaście nie schodziło mi z pleców, a siodło zostawiło brudne plamy na spodniach. Pod gradem kul w wąwozie Szypka pomagałem nadto przenieść rannego oficera rosyjskiego za linię bojową, i krew jego przylgnęła do mojej odzieży. Nic to jednak nie pomogło. Ignatiew obudził cesarza i po chwili stałem przed monarchą rosyjskim. Kształtna postać jego zgięła się pod ciężarem trosk. Z oczami zapadłemi i twarzą zmęczoną od trudów i kłopotów stał przedemną mąż ten, którego w kilka tygodni później widziałem wyprostowanego na koniu, jaśniejącego złotem i orderami, otoczonego rozentuzyazmowaną ludnością Petersburga. Co za kontrast! „Jakże tam w górach rzeczy stoją“ — zapytał mię cesarz, pokasłując, cierpiał bowiem na astmę. Odpowiedziałem, że najlepiej mógłbym objaśnić położenie rzeczy ołówkiem na papierze. Papieru jednak w nędznej izbie chłopskiej nie było, musiał więc dopiero Ignatiew wyjść i zająć się szukaniem go. Gdy powrócił, przedstawiłem na rysunku sytuacyę, jaką zastałem w wąwozie górskim. Cesarz zdawał się być zadowolonym. „Pan jesteś zapewne oficerem w armii angielskiej?“ „Nie, Najjaśniejszy Panie.“ „Ach, rozumiem, zapewne służyłeś pan w korpusie inżenierskim albo w artyleryi?“ Gdym odrzekł cesarzowi, że gość jego był w dragonach zwyczajnym szeregowcem, spojrzał zdumiony na mnie, a potem na mój rysunek. Obawiam się, że moja małość dała mu zbyt pochlebne wyobrażenie o przygotowaniu wojennem żołnierzy angielskich.“

„Byłem pierwszym anglikiem, a może nawet pierwszym cudzoziemcem, który po zawarciu zawieszenia broni zwiedził wygłodzony Paryż. Było to smutny widok. Miałem paszport, który mi zapewniał bezpieczeństwo aż do pierwszych placówek francuskich. Później musiałem już sam o sobie

z rozdziałem mówiącym o Polsce. Nadzwyczaj interesujący obraz losów chłopa w takich np. Chinach, od których wiele nauczyć byśmy się mogli, czytelnik pozna w oryginale, zasługującym bezwarunkowo na uważne przeczytanie.

Z góry wybaczmy autorowi błędy historyczne i geograficzne, których się tak obficie dopuszcza. Powszechna to wada cudzoziemców, a ich nieznajomość dziejów słowian weszła już w przysłowie.

„Czy Polska — pyta— zasłużyła na swe nieszczęścia?“ Z odpowiedzi na pytanie od razu można ocenić, czy autor z uprzedzeniem mówić będzie o nas, czy też wzrokiem sumiennego badacza obejmie położenie i bezwzględnej prawdzie odda pierwszeństwo?

Na odpowiedź tę nie czekamy długo. Meyer mówi:

„Nazajutrz po podziale..... trudno było odszukać przyczyn tego wielkiego pogromu i osądzić beznamiętnie naród tak ciężko dotknięty. Dziś historya, prawda wchodzi w swe prawa i mimo sympatyi, jaką zawsze obudza nieszczęście, musimy zwalić na Polską *pewną część odpowiedzialności* za zło, jakie nad nią zawisło.“

Zastanawiając się nad wiekowemi przyczynami, które nagromadzając się stopniopniowo, wywołały upadek Rzeczypospolitej, Meyer widzi je: w złem położeniu geograficznem, w niezamkniętych przed najściami trzech sąsiadujących mocarstw granicach, w braku trwałego systemu rządowego, na czele którego stałaby władza silna. „System elekcyjny — pisze autor — pod naciskiem garstki możnowładców, w wiecznej wojnie z sobą będących, otworzył wrota kraju dla potężnych i ambitnych państw sąsiednich, które obojętne dla uczuć narodu, wmieszały się w jego sprawy wewnętrzne w celach osobistych i rozbiór kraju przeprowadziły.“

Za główną jednak przyczynę upadku uważa Meyer błędną organizacyę społeczną. Prawo spadkowe, prawa rolne wywołały ruinę, bo lud odsunięty od spraw krajowych, obojętny a często wrogi, burzył się i powstawał. „Nie zrozumiawszy i nie zastosowawszy wielkiej zasady zjednoczenia narodu i ziemi, kraj ten bogaty w czyny bohaterskie i szlachetne poświęcenie, musiał być wykreślony z listy narodów.“

U pisarza tych zasad, co Meyer, zastanowić musi pewien odskok od jego wyznania wiary, jaki spostrzegamy w ocenie stosunków społecznych Rzeczypospolitej. Chrześcianin i konserwatysta, stróż gorliwy doczesnych dóbr kościoła, gdy mówi o Polsce, występuje jako surowy krytyk duchowieństwa i możnowładztwa. Wprawdzie duchowieństwo usprawiedliwia nieco utrzymując, że możnowładcy wcześnie wyswobodzili się z pod opieki Rzymu i zrobiwszy kościół ściśle narodowym, potrafili go nagiąć do swoich celów. Dostojnicy kościoła rekrutowani byli z szeregów młodszych synów arystokracyi, a olbrzymie dobra przywiązane do urzędów biskupów, opatów i kanoników, wzmacniały ich wpływ i stanowisko, które wyzyskiwano w celach agitacyjnych, w interesach prywaty. Dobra zatem duchowne, ta — jak ją Meyer nazywa — ojcowizna biednych, nie dawały ochrony i wsparcia ludowi.

Autor utrzymuje, że niewola ludu u nas datuje się prawie od wprowadzenia chrześciaństwa. Pierwsze ślady tego ucisku widzimy za panowania Mieczysława II i uciskowi temu przypisuje wstrząśnienia, trwające podczas bezkrólewia, którym kres położył powrót Kazimierza (1039—1043), ogłaszającego wolność chłopa i swobodę w nabywaniu ziemi (?). Od tej epoki aż do początku XIV stulecia, widzimy królów z rodziny Piastów, broniących swej władzy i starających się ochraniać lud przed uciskiem arystokracyi, która mimo to zawsze zwycięzko wychodziła. Wtedy to dwa wieki przeszło ciągłych walk wewnętrznych do tego stopnia wzmogły siły możnowładztwa, że ono dyktowało prawa królom; o prawach politycznych ludu niema już mowy, a raczej *możnowładztwo i duchowieństwo tworzą lud.*

Kazimierz Wielki dopiero wprowadza pewien ład w „chaosie polskim.“ Opiekun ludu, „królem chłopów“ przezwany, ogłasza pierwszy kodeks polski, nazwany Wiślickim. Chociaż Meyer kodeks ten nazywa „dokumentem pierwszorzędnego znaczenia,“ nie zastanawia się nad nim długo i dobre jego strony do bardzo skromnych sprowadza rozmiarów. Kodeks Wiślicki wolność osobistą zapewnia tylko starszyznie wioskowemu (*sculteti*); na gruntach rządzonych prawem niemieckiem (własność miast), kmieć mógł sprzedawać swą ziemię, na dominialnych prawo to mu nie służyło; lecz i jeden i drugi swobodę osobistą mieli skrępowaną. Prawo, zapewniające na rok dwom chłopom w jednej wsi możność opuszczania pańskiego gruntu, jest jednem z ustępstw przez „króla chłopów“ udzielonych, jak również zniesienie zwyczaju dozwalającego panu dziedziczyć majętność chłopa zmarłego bezpotomnie i upoważniające wierzyciela do egzekucyi na nim długu zaciągniętego przez pana, którego ten ostatni płacić nie chciał. Widzi w tem Meyer dowód, że przed kodeksem Wiślickim majątek chłopa nie był dostatecznie zabezpieczony, skoro można było na nim egzekwować zobowiązania niezaciągnięte.

Lecz dopiero rok 1496 przynosi najstraszliwszy cios ludowi. Prawo posiadania i dziedziczenia łanu (*mansus*) zostaje wzbronionem, chłop odtąd jest na łasce pana; w 1520 nakazują mu odrabiać pańszczyznę z początku raz na tydzień, później *ad libitum*; od 1566 poddany jest wyłącznej juryzdykcyi pana; prawo odwoływania się do sądów królewskich zostaje mu odjęte, a król Zygmunt zobowiązuje się nie wglądać w sprawy między chłopem a panem, który aż do 1768 r. ma prawo *życia i śmierci* nad swym niewolnikiem.

(D. n.)

R.

LITERATURA I SZTUKA.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Hygiena wychowania. Wielkiego hałasu narobiło za granicą dzieło prof. akademii w Lozannie, d-ra Löwenthala. Pokrewieństwo tematu z przedmiotem, który nasz ogół obecnie zajmuje, skłania do zapoznania się z nim zlekka. Niezmiernie dużo prawią i mówią poświęceni i niepoświęceni o potrzebie całkowitego przekształcenia szkół wszelakich stopni. Wszędzie jeszcze prawie obowiązuje program nauk, stosowany przed stu i więcej laty; wszędzie narzekają na obciążanie dzieci pracą; wszędzie skarżą się na małą zdrowotność warunków nauczania. Do serca wszystkie te żale wziął dr Löwenthal i postanowił zadziwić świat pomysłami reformy. Rozdziela on ogólną hygienę pedagogiki na dwie gałęzie: nauczania i właściwego wychowania i główną uwagę poświęca pierwszej. Ażeby odrodzić zaniedbaną i zapleśniałą umiejętność przygotowywania młodego pokolenia, należy według niego, znaleźć przedewszystkiem ogólną zasadę „psycho fizyologiczną i rozwojową;“ innemi słowy, wykryć właściwy stosunek pracy fizycznej do umysłowej w ogólnej gospodarce ustroju. Tak wiele przyrzekłszy, dał jednak sza-

---

myśleć. Błądziłem po opustoszałych ulicach miasta, a wieczorem spotkałem się w restauracyi z kilkoma brytańskimi kolegami, którzy przebyli oblężenie. Przyniosłem z sobą nieco żywności i — dobrze uczyniłem: wysłane przez angielskich przyjaciół zapasy czekały jeszcze u bram grodu; koledzy więc moi mogli mi co najwyżej ofiarować pieczeń końską i sztukę mięsa psiego. Do pierwszej można się jeszcze w biedzie przyzwyczaić, ale do drugiego — nigdy! Co prawda łatwiej było dostać się do miasta, niż wydostać się z niego, a jeszcze trudniej moją długą, opisującą stan rzeczy w Paryżu depeszę przesłać podług adresu do Londynu; było bowiem wprost niemożliwem wyprawić jakąkolwiek wiadomość telegraficzną z terytoryum francuskiego. A więc pojechałem pociągiem pospiesznym, idącym ku granicy, do Strasburga; stamtąd można już było bez przeszkody skomunikować się z Karlsruhe, skąd depesza moja została wreszcie odesłaną. Bezzwłocznie potem pospieszyłem tą samą drogą napowrót do Paryża, dokąd przybyłem akurat w 48 godzin po odjeździe. Znalazłem tam kilku kolegów z innych dzienników londyńskich, którzy przez ten czas zjechali do Paryża; nie omieszkali oni wyśmiać porządnie zapóźnionego przedstawiciela *Daily News.* W tym samym czasie nadszedł do Paryża pierwszy egzemplarz tej gazety z moim telegramem paryzkim — i kolej drwin przyszła teraz na mnie. Panowie ci twierdzili, żem skorzystał z pociągu nadzwyczajnego, jaki przeznaczył umyślnie Rotszyld dla korespondenta *Times'a*. Było to jednak kłamstwem. Wtedy, gdy pociąg wiozący współpracownika *Times'a* ruszał z miejsca, ja byłem zajęty gdzieindziej. Wpadłem mianowicie w ręce całej roty wściekłych uliczników, którzy na otwartej drodze przypuścili do mnie szturm i pomimo dzielnej obrony pokonali mię. Mieli mię oni za szpiega pruskiego i wlekli po bruku ulicznym z zamiarem uśmiercenia. Patrol gwardyi narodowej ocalił mi życie. Zaprowadzono mię do najbliższej kancelaryi policyjnej i przesłuchano razem ze złodziejem kieszonkowym i dziewką, która rozmawiała z jakimś prusakiem. Gdy już wylegitymowałem się, sędzia podarował mi stary surdut i puścił na wolność z prośbą, ażebym rozgoryczonym paryżanom zapomniał *ce petit inconvénient.*

Korespondent wojenny nigdy nie jest pewnym swojego życia. Jest to powołanie niebezpieczne. Z dwudziestu przedstawicieli prasy, którzy towarzyszyli wyprawie sudańskiej, sześciu zginęło; pomiędzy nimi O'Donowan i Power, pierwszy z Hicks'em, drugi ze Stewartem. Ideałem wojennego korespondenta był amerykanin Mac Gahan, który ze złamaną nogą poszedł na Bałkany, a w 32 roku życia padł ofiarą obowiązku i przyjaźni. Z moich wycieczek najniebezpieczniejszą była przeprawa podczas nieszczęsnej wojny z zulusami, gdy po wzięciu Ulundi konno w nocy przedostawałem się przez krainę pobitych i rozpierzchłych zulusów do Durbanu, ażeby wysłać telegram. Zgubiwszy drogę, siedziałem nieruchomie na dychawicznym podjezdku a uszu moich dochodziły z poblizkich chat płonących wycia kafrów. Dwie godziny, które spędziłem w ten sposób w pustyni, oczekując wejścia księżyca, wydawały mi się całą wiecznością. Ale znalazłem dostateczną nagrodę w tem, że byłem pierwszym, który generałowi Wolseleyowi doniósł o zwycięztwie nad Keczowayem. Prócz tego depesza moja odczytywaną była w obu Izbach parlamentu na długo przed otrzymaniem urzędowej wiadomości od lorda Chelmsforda.“

Porywający opis rozstrzygającego momentu w bitwie pod Gravelotte, opis pola walki Isandulana, śmierci księcia Napoleona pod Ekowe zakończył Forbes uwagą, że w najbardziej zajmującej chwili wojna jest smutną sprawą, a swoją stroną ujemną działa rozsrażająco zarówno na uczestników, jak i na widzów.

Tłom. *N.*

nowny mistrz tylko analogię, według której odżywianie ducha winno odbywać się na tych samych zasadach, jakie rządzą karmieniem ciała, co znaczy, że potrzeba podawać dziecku do przetrawienia rzeczy łatwo zrozumiałe, zachęcać je do samoistnego pojmowania wykładanych przedmiotów, albowiem mądrym jest tylko ten, co sam za siebie myśli, starać się, ażeby połknięta wiedza podlegała właściwej przeróbce i wytwarzała samodzielnie nowe pojęcia i wyobrażenia. Zbyteczna dodawać, że tak luźnie określona formuła nie stanowi bynajmniej nowości.

Jakże rozstrzyga szwajcarski profesor sprawę ulżenia młodzieży pracy? Nic lepiej. Uznał on, że zamiast gderać na obciążanie, słuszniej jest naszkicować wprost program nauk szkolnych, co też uczynił, ale nieudatnie. Tak np. dziatwie od lat 8 do 12, czyli uczęszczającej mniej więcej do pierwszych czterech klas przeznacza 32—35 godzin pracy tygodniowo. Chce się zawołać: *excusez du peu!* Wobec tego, czytelniku, nie będziesz chyba żałował, że dalsze szczegóły tego planu przemilczę, prócz kilku naturalnie, które zasługują na wzmiankę już przez samą swą dziwaczność. A więc:

Od najwcześniejszej doby Löwenthal radzi wpajać w wychowańca ogólne zasady etyki i zaznajamiać go z treścią moralną panujących religij. W miejsce dotychczasowych przepisów w rodzaju „kochaj bliźniego jak siebie samego" proponuje inne, które niejednemu bardzo nawet doświadczonemu sędziemu i moraliście potrafiłyby zabić klin w głowę, np: „kochaj bliźniego tak, jak na to zasługuje." Mogłoby to raczej ujść za ilustracyę równania z dwiema niewiadomemi. Kilka zdrowszych ziarn odnaleźć można w prawidłach nauczania historyi. Autor kładzie nacisk na dzieje cywilizacyi powszechnej — jest to wskazówka nie nowa, ale cenna wobec ślepego hołdowania martwym datom i faktom w dotychczasowych podręcznikach. Ale zarazem ów obraz rozwoju rozpięto na niemożliwie szerokich ramach, tak że zagarnia nieledwie całą literaturę historyczną.

Najciekawszemi są rady, dotyczące metody nauczania. Löwenthal rozróżnia przedmioty pomocnicze, jak naukę czytania, pisania, gramatykę, rachunki początkowe i rysunki od samoistnych, sobie samym będących celem. Ponieważ tamte są tylko środkami, więc dosyć gdy się je pozna mechanicznie, drogą powtarzania, albo jakby powiedziano u nas „kucia." Pyszny sposób rozwijania umysłów! Autor *Emila* porusza się chyba w grobie, słysząc, że w ojczyźnie jego, o mil parę od Genewy drukuje się tak bezecne przeciw jego nieśmiertelnej dla wychowania teoryi i przeciw zdrowemu rozsądkowi człowieka. Trafnie metodę powyższą nazwał ktoś „papuzią." Nadmienimy, że wrzawa jaką powitano książkę Löwenthala jest czysto dodatnią, przyklaskującą...

Kult przyrodoznawstwa. Na miano prawdziwej hygieny wychowania, w idealny nieledwie sposób urzeczywistniającej klasyczną zasadę *utile dulci*— zasługuje instytucya amerykańska, znana pod nazwą „Stowarzyszenia Agassiz'a (Association Agassiz). Oto jej dzieje i zadanie.

H. H. Ballard, profesor w *Lenox High School*, jest uczonym i zamiłowanym przyrodnikiem. Pragnąc słuchaczom swym dostarczyć przyjemnej rozrywki, jakiej w młodości swej doznawał, zbierając muszle, rośliny, jaja i nasiona, zachęcił ich do utworzenia kółka, któreby w wolnych od zajęć chwilach podpatrywało tajemnice natury. Młodzież z radością przystała i wnet wzięto się do dzieła. Jedni notowali zjawiska atmosferyczne i prowadzili kronikę pogody. Inni badali pączki różnorodnych drzew i wyciągali stąd wnioski o porze tworzenia się liści. Inni wreszcie porównywali położenie rdzenia w ściętych drzewach i doszli do pewności, że leżą one zawsze bliżej strony wystawionej na działanie wiatru itd. Z czasem zapał ogarnął młodych postrzegaczów i zjednał mnóstwo nowych członków. Zajęli się nimi inni profesorowie i zwierzchnicy, rozesłano zaproszenia do wszystkich miłośników dociekań przyrodniczych i dzisiaj towarzystwo liczy *dziesięć tysięcy* uczestników, najrozmaitszego wieku, bo od lat 4 do 84, stanu i zawodu. Zaszła w dalszym ciągu potrzeba rozdzielenia pracy i grono rozpadło się na 986 mniejszych związków, połączonych ściśle, wzajem się o rezultatach powiadamiających. Czynności ich są nader różnobarwne: urządzają wycieczki, wykłady przygotowawcze, wspólne pracownie. Owoce tak dziwnie prosto zorganizowanej pracy podaje ogółowi specyalne pismo stowarzyszenia p. t. *The Swiss Cross*. Współpracownicy jego, wszyscy owi nieletni przyrodnicy, nie przynoszą bynajmniej ujmy imieniu znakomitego Agassiza, którego protektorat zaszczytny uzyskali. Artykuły ich tchną niewysłowionym zapałem, odznaczają się gorliwością i sumiennością. Tak np chłopiec czternastoletni zebrał troskliwie dane o czterdziestu gatunkach ptaków, zamieszkujących pewną okolicę. Inny znowu opisał wypadki trzęsienia ziemi. Prócz tego, że naukę zbogacają niekiedy poważniejszymi nabytkami, zajęcia te kształcą przedewszystkiem w młodzieży zmysł obserwacyjny, zdolność grupowania zjawisk, władzę rozumowania, słowem to wszystko, na czem wspiera się prawdziwa inteligencya. Warunki zaś tego są, jak widzimy, najpiękniejszym zastosowaniem metody poglądowej. Odrzuciwszy nawet wszelką czułostkowość, nie można nie podziwiać Stowarzyszenia Agassiza i nie stawiać za wzór miejscowym naszym wychowawcom.

Muzyka. Przejdźmy w dziedzinę sztuki. Jeden z najpopularniejszych jej kapłanów. Saint-Saëns napisał symfonię p. t. *Prozerpina*, którą publiczność francuska wysłuchała w spalonych już dziś murach Opery komicznej. I my parę jego utworów symfonicznych, jeno drobniejszego kroju — innych dotąd nie tworzył — znamy. *Taniec szkieletów* jest już niemal ogranym; *Prządka Omfalii* doznawała wielkiego powodzenia na koncertach symfonicznych, jakie urządzał Teatr wielki ostatniej zimy. *Prozerpina* jest w muzyce motywem nienowym. W roku 1630 słynny Klaudyusz Montewerde zachwycał wenecyan na podobny temat. Na schyłku tegoż wieku Quinault i Lulli ułożyli operę pod takim samym tytułem, graną przed Ludwikiem XIV. Były to przecież dzieła klasyczne. Romantyczny i lubujący się w fantastyczności Saint-Saëns z kaprysami stylu nowoczesnego łączy jeszcze czystość i prostotę muzyki dawniejszej. Prozerpina jest świetnym wyrazem właściwych mu błyskotliwych efektów i wysokiej zdolności instrumentowania. Treść jednakże poczerpnął już nie z mitologii starożytnego świata, a z przeszłości włoskiej, z czasów odrodzenia. Bohaterka i imienniczka bóstwa greckiego jest piękną kobietą, zakochaną w młodym magnacie Sabatino. On jednakże wzajemnością nie płaci, dla tej prostej przyczyny, że kocha Angiolę, siostrę swego przyjaciela. Miotana zazdrością Prozerpina postanawia zemścić się za obojętność. Zaczaja się w pałacu młodzieńca, w chwili gdy ten przygotowuje się do powitania ukochanej i przerywa scenę miłosną uderzeniem sztyletu, pod którym rywalka pada. Sabatino zrozpaczony tym samym puginałem powala zabójczynię.

Wątek to podobny do tysiąca innych, dostarczanych przez wielką pełnię artyzmu i temperamentu włoskiego w epoce Odrodzenia. Sztuka, poezya i życie były stale widowniami tego rodzaju tragedyj. Francuzkiemu muzykowi dał on sposobność stworzenia kilku potężnych i wstrząsających momentów i rozwinięcia całego przepychu dźwięków. Przeważa w nich styl współczesny, a miejscami słychać udatne naśladowania melodyi z wieku szesnastego.

Ze wspomnień literackich. Przy odgłosie musztry całej Europy, przy huku bębnów i trąb wszystkich armij, stale gotujących się do niewiadomego boju — teorya ludzkości zmawia pocichu swe pacierze, rozumie się, bezskutecznie. Tak samo czyni nie wszystkim pewnie znane *Francuskie towarzystwo przyjaciół pokoju*. I teraz znowu kiwało ono smutnie głowami nad teraźniejszością Prezydujący Fryderyk Passy prawił o potrzebie sądu międzynarodowego dla najświeższych zawikłań; Juliusz Simon doradzał równomierne i jednoczesne rozbrojenie państw. Z tego powodu przypomniano też sobie, co myślał i mówił ongi o pokoju wieczystym Alfred de Musset. Dwóch głośnych ekonomistów, opuściwszy obrady nad rozejmem powszechnym, weszło do kawiarni; zastali tam autora *Renu niemieckiego*, przed którym stała już druga czy trzecia szklanka absyntu. Zaczął się on zdala przysłuchiwać żywym rozprawom przybyszów, a pochwyciwszy wyrazy „pokój wieczysty," porwał się z miejsca, chwiejnym krokiem zbliżył się, a stanąwszy twarzą w twarz odezwał się do jednego z nich: „Nastąp mi pan na nogę." Zagadnięty w ten sposób cofnął się. „Ale nastąp że mi pan na nogę!", powtórzył natarczywiej Musset. I podszedł o krok bliżej. Położenie to trwało kilka minut. Wreszcie zawołał: „Widzisz pan więc, że nie śmiesz udeptać mię w nogę. Postępując naprzód, zmuszam cię do cofania się. Oto masz pan pokój wieczysty! Jest to pokój zbrojny. *Si vis pacem, para bellum.*" Nawet po pijanemu zatem wielki poeta był przenikliwym wróżbitą.

E. Marlitt. Nazwisko znajome, przypomina bowiem zaraz *Złotą Elżunię*, która i u nas lat temu piętnaście była na porządku dziennym. I myśmy ją czytali i choć treść przypominać trudno, łatwo jednak pochwycić wrażenie ogólne: w powodzi romansideł, pod któremi trzeszczały półki czytelni prywatnych, *Złota Elżunia* ocalała i w pamięć wraziła ją jakoś sympatyczniej, trwalej, w wieńcu prawdziwej poezyi.

Dla czegóż teraz wydobywamy ją z mgły przeszłości? Bo autorka jej umarła, i to niedawno w 22 czerwca. Piśmiennictwo niemieckie poniosło w niej dotkliwą stratę, zwłaszcza owa literatura budująca, pół-kobieca, rozsadowiona w *Gartenlaube* i mnóstwie tygodników rodzinnych, słowem w stałym pokarmie duchowym przeciętnych niemców. Marlitt jest pseudonymem; zaś nazwiskiem prawdziwem Eugenia John. Dane biograficzne znamionują w tej kobiecie umysł prawdziwie podniosły, tem cenniejszy, że sprzężony z ciałem upośledzonem nieuleczalną chorobą, a więc męczeński. Poetka całe niemal życie przykutą była reumatyzmem do fotelu; boleść swą czuła głęboko, zesklepiała się w sobie, niewielkim gronem przyjaciół otoczona. Z drugiej za to strony należała ona do tych szczęśliwców, którzy na świat z sobą przynoszą zarodki geniuszu, odziedziczywszy go po rodzicach, i dzieląc z rodzeństwem. Ojciec, kupiec w Turyngii, był wysoce utalentowanym malarzem, wybornym kopistą malowideł klasycznych. Matka, romantyczka w dobrym znaczeniu, wykołysana nadto w hołdach, składanych jej urodzie, obcowała przeważnie z książkami — tak iż dom pod pieczą dwojga kiepskich gospodarzów i dobrych w sztuce dyletantów z dobrobytu wpadł w nędzę Brat Eugenii odznaczał się wysokim darem językoznawczym, wszyscy jednak pod względem uzdolnienia ustępowali jej. Próbowała też szczęścia w muzyce; obdarzona ładnym głosem, wykształciła go przy pomocy protektorki, księżnej Sondershausen — ale nagle spadły grom w postaci częściowej utraty słuchu uwieńczył pierwszy jej na deskach teatralnych występ — niepowodzeniem. Dalej idą już cierpienia. Z możną opiekunką zżyć się nie mogła; z czasem też straciła emeryturę otrzymywaną od niej za sprawowany przez czas jakiś urząd lektorki i do reszty prawie ogłuchła. Widnokrąg rozpogodził się wszakże w zawodzie literackim.

Do powieściopisarstwa wzięła się Marlitt bardzo późno, w czterdziestym roku życia. Parła ją do niego obfitość doznanych wrażeń. Już zastępca redaktora popularnej i wpływem swym potężnej *Gartenlaube* zamierzał odesłać autorce rękopis *Złotej Elżuni* i *Dwunastu apostołów*, gdy naczelny kierownik pisma, Ernest Keil, wziął je do rąk, a spostrzegłszy koloryt Turyngii, która była jego ojczyzną i miejscem ukochanem, zajął się bliżej utworami, jednym tchem je przeczytał i odtąd sława panny John była ustaloną. Inne wydawnictwa daremnie się o jej współzawodnictwo ubiegały. Czytały ją całe Niemcy—dziś też chociaż krytyka mniej przychylnie spogląda na jej rozciekawiające opowiadania i zarzuca ograniczoność tematów — całe Niemcy cześć należną zwłokom jej oddały.

Kopalnie złota i srebra. Jak wiadomo, od roku 1851 Australia należy do miejscowości najbardziej obfitujących w kruszce; wydobyto z niej bowiem od tego czasu 28 — 29% ogólnej produkcyi złota. Przybywają jednak wciąż nowe źródła. Niedawno u stóp góry Lyell na pół-

nocno-wschodnim brzegu Tasmanii, natrafiono na żyłę, która przyprawiła całą ludność okoliczną o febrę złotą. Wiadomości, w ostatnich czasach otrzymane, całkiem potwierdzają pogłoski pierwotne, pełne wygórowanych oczekiwań, i pozwalają świeżo odkryte pole stawiać na równi ze słynnemi przestrzeniami Mount Morgan, których wartość obliczano na wiele milionów. W jednej tonnie rudy znaleziono 164,187 uncyj srebra i 348 uncyj złeta. W dalszym ciągu odkryto pokłady drogocenne w Wankarigo. Za to kraina Kimberley zawiodła rachuby, tam bowiem złota garściami brać z ziemi nie można, ale za to przy skromnych środkach utrzymania wobec miejscowych warunków łatwo z głodu umrzeć.

W głośnych kopalniach Teetulpa w Australii pracuje obecnie 5.000 ludzi i pracuje nie nadarmo. Największa dotąd wydobyta bryła drogocennego metalu ważyła 30 uncyj (przeszło trzy funty). Agent jednego z banków angielskich zakupił na miejscu w ciągu ostatnich czternastu dni czerwca 1,200 uncyj złota.

W „Towarzystwie nowo-gwinejskiem“ w Berlinie otrzymano wiadomość o kilku nowych odkryciach na Gwinei.

W Ameryce. W Ecuadorze w pobliżu miasta Passage, znaleziono bogate pokłady złota i srebra.

W Stanie Kanzas, w pobliżu miasta Caldwell, pokłady rudy srebrnej, dającej 310—342 uncyj czystego metalu na tonnę.

W lasach obwodu Jenisejskiego w Syberyi nad Rybną, znaleziono również pokłady kwarcu, których zwierzchnie warstwy dają na 100 pudów rudy 15 do 18 zołotników, głębsze zaś 2.5 pudów złota.

C.

FEJLETON.

Z ZACHODU.

XV.

Sentencya Poliszynela. — Klermasz francuski. — Jowisz a Opatrzność. — Jubileusze. — Uroczystości florenckie.

Tous meurent: Les vieux et les jeunes—c'est selon... Bon soir monsieur Pantalon — rzekł Poliszynel i ustąpił ze sceny, a ja jąłem rozważać słuszność tej sentencyi i uśmiechnąłem się do jej niewzruszoności logicznej. Tak, wszyscy umrzemy, luby Pulcinello; starzy, młodzi... to zależy—dobrze powiadasz; my młodzi naprzód, wy starzy później: Ty i Arlekin i Doktor, Gil, Skaramusz, Colombina i Matamor Zabi-turek przeżyjecie jeszcze wielu wielkich i sławnych: poetów i uczonych, mężów stanu. Bo wy potrzebni dzieciom; któżby ich wesołości uczył? Bo wy potrzebni wodzom społeczeństwa; któżby ich uczył zdrowego rozsądku? Astolf Aryosta jedzie szukać go na księżycu; dzisiejszym buda maryonetek wystarczy; szanujmy teatr Guignola.

Czerwiec — to miesiąc kiermaszów. Kto widział kiermasz francuski? Dawniej każda miejscowość przedstawiała w jarmarku fizyognomię właściwą: St. Cloud, czy St. Denis, Lyon czy Beaucaire nad Rodanem; dziś wędrowni kramarze przerobili te jarmarki na jedną modłę. Zawsze to jednak nie nasze kiermasze, nie niemieckie; odbiegły od nich o całą odległość zachodniego zepsucia.

Na przedmiejskim placu dwie aleje: w jednej drewniane baraki z towarami całego świata, od miejscowego piernika do indyjskich bananów i japońskich wachlarzów; opaśli i nabrzmiali turcy w fezach; chudzi, z obłąkanemi oczami, w białych burnusach arabowie; mali chińczycy z drobnemi oczami na płaskiej oliwkowej twarzy. Taniość i lichość — to hasło, ale najuboższy nie wróci do domu bez gościńca, choćby pisklinego *mirlitonu*.

W drugiej alei hałas parlamentarny — chciałem rzec piekielny; wymknęło mi się: parlamentarny, bo na przedzie spostrzegam dwie cyrkowe budy; w każdej klowny wychwalają swoich, rzucając sobie przezwiska i obelgi; u wejścia na cierpliwych, melancholicznych szkapach, przykrytych karmazynem, malce wyprawiają skoki — szkapy przedstawiają łudząco i uczenie opinię publiczną; trąby i bębny mieszają jej w głowie, aby nie zauważyła nędzoty przedstawienia. Atleta ramieniem, diva toczoną łydką zapraszają natarczywie do wejścia. Dalej strzelanina: do kręcących się jaj i fajek, do figur z mechanizmem muzycznym; im przystojniejsza właścicielka strzelnicy, tem huk i zniszczenie większe. Karuzele, panoramy, menażerye w długim szeregu, za niemi namiot z czerwonym napisem: „Niezrównana Lidya, władczyni cudów XIX w. Widzialna tylko dla mężczyzn.“ Ostatnie ostrzeżenie zachwycające i ośmielające; co to takiego? Ot, cóż! Na estradzie kobieta w trykotach, zresztą poważna ubiorem — i wiekiem, wydekoltowana nieco. Pergaminowa twarz i szklane oczy, smutne echo dawnych wdzięków, dały jej prawo stanąć w szeregu namiotów z wystawą piękności. Kto wszedł, uśmiecha się litośnie, jejmość uśmiecha się też, myślą tą samą; w nieruchomości tej bezwstydnej, leżącej na sofie figury jest coś przygnębiającego. Gdzież cuda XIX w.? „Zbliż się młodzieńcze.“ Wyciąga rękę, dotykam jej ze wstrętem—w tej chwili przebiega mi po ciele prąd elektryczny. O ironio! Doznaje się — każdy to wie, kto był młody — takich dreszczów czasem za dotknięciem młodej, lubej rączki; tu dzieje się to skutkiem zwykłego stosu, ukrytego za deską, a którego jeden biegun władczyni przyciska stopą. Jeszcze nie wszystko: za dodatkowe dwa susy bezwstydnica pokazuje muszkę na kolanie, nazywając to: *son petit truc*. I uwierzycie, że policya nie wzbrania wstępu nawet małym chłopcom, gimnazistom?.. nie można — we Francyi wiek dziś nie istnieje. Że nie przegania tej zarazy?.. nie można — płaci podatki. A takich namiotów dziesiątkami. W jednym „Piękna Guluara,“ mówiąca jednak akcentem marsylskim, w drugim „Biała szwedka, rywalka Ewy,“ która jednak zdradza się niemczyzną po niedyskretnem uszczypnięciu w udo przez jednego z gości; młode i stare, wszystkie pewne swego dziennego dochodu, bo jest to przymiot, zresztą wdzięczny, naiwności francuza, że idzie tam, gdzie wie, że będzie oszukany.

Po za szeregiem tych namiotów jakaś olbrzymia matrona wykrzykuje, podnosząc ramiona: „Chodźcie oglądać córkę moją, olbrzymkę, lat 16, 200 kilogramów.“ Krzycząc, podnosi w górę naprzód nieskończonej objętości pończochę, później inne, sekretniejsze części kobiecego stroju. „Córkę moją i tego rycerza“ — mówi, wskazując atletę w cyrku gladyatorów. Poczem wysuwa się przez otwór w budzie spore ramię, a tuż przez drugi rączka dziecinna. Ten kontrast zwycięża stanowczo wahania publiki; szereg ciekawych ginie za kotarą. Ciekawsze widowisko tuż obok; siłacze — mężczyźni i kobiety, rzucają między tłum rękawice. Skoro cyrk już pełny, następują produkcye siły; biedny negr z mocno wyrobioną muskulaturą górnej części ciała, a za to ze zdumiewająco słabemi odnóżami dolnemi, podnosi i rzuca w górę żelazne kule; kobieta, herodbaba w tatarskiej barankowej czapce śmiga przeciwników prętem; wreszcie atleci wyzywają na ochotnika. Staje ich wielu; w tej rasie na pozór karłowatej znajdziesz jeszcze ludzi z siłą Dumasowego Porthosa, zwłaszcza na południu, gdzie tradycya rzymskich zapasów zachowała się bardzo żywo. A doprawdy, w niektórych klasycznych pozach walki, w niektórych ruchach odkrywałem kolejno widzianych już gladyatorów w rzeźbach i obrazach. Cztery pochodnie dymią czerwono, od dwu półnagich ludzi snują się, wydłużając i skracając, cienie po piasku. Pochylili głowy między karki, chodzą koło siebie obróceni bokiem z łokciami przypartymi do bioder. Chwycili się za ramiona i prą głowami, raz po raz słychać klaskanie ręki oderwanej i czepiającej się ciała: czasem obaj przeciwnicy stoją nieruchomo, rzekłbyś w spoczynku — tylko drgające mięśnie świadczą o trwaniu walki. Jeden podniesiony w pół runął na kolano, drugi nagina go z góry — wspaniała, pełna artyzmu poza. Podskoczyli oba, znów upadli i tarzają się: wreszcie zwycięzca przycisnął przeciwnika łokciem do ziemi — konieczny warunek wygranej; walka skończona; pobity kładzie swą kopułę i niebieską bluzę robotnika, dysząc ciężko.

Jednego jeszcze namiotu pominąć nie można; już zdaleka stukanie tamburynów i jednostajny, obcy śpiew kobiecy zapowiadają coś oryginalnego. Na namiocie napis: „Koncert egipski. Bajadera Fatma i jej towarzyszki.“ Egipskiego wprawdzie nic w nim niema; widocznie stary szyld z nowym personalem, tym razem prawdziwie tureckim. Stara wiedźma, z wypiekłymi policzkami, malowanemi brwiami, w żółtej sukni i niebieskim kaftanie. Dziewczęta w malowniczych kostiumach wschodnich, między niemi prawdziwie niepospolita piękność, tancerka. Szacunek, jaki jej okazują inne, zazdrośnie ścigające ją oczy Ben Abdali, pewien odcień dostojności świadczą, że nie jest prostą najemnicą. Szafirowy dżelik, fałdziste jedwabne szarawary, haftowane złotem pantofelki, cekiny na czole — oto strój. Nic bardziej lubieżnego, choć niewinnego na pozór, jak turecki taniec. Ruchami zapala zmysły, od zmysłów zapala się fantazya i posyła krew do twarzy. Tancerka trzyma nad głową długi szal, piersiami podana naprzód; szal przewija wkoło siebie, piersiami idzie naprzód, jak fala. Przegina się, odwraca to plecami, to bokiem; z pod jedwabiu i muślinu odkrywa się prawie każde ciała drgienie. Na tych ruchach pieszczotliwych, wyzywających, ponętnych polega cały taniec. W półobrotowym ruchu bioder tancerka zdaje się podchodzić do widza; w wysuwaniu naprzód kibici zdaje się go zachęcać: weź mię; oczy gonią ją, gotowe pochwycić — zatrzymują się dopiero na ironicznym uśmiechu. W tańcu tym skupia się całe zepsucie Wschodu; miłość bez energii, rozkosz bez namiętności, drażnienie zmysłów aż do omdlenia — harmonią ciała. Człowiekowi północy w atmosferze tej długo pozostawać — groza.

Nie byłby to opis francuskiego kiermaszu, gdyby się w nim zapomniało rulety. Czy w pawilonach, czy na straganach, ruleta wszędzie. Gra jest to niewykorzeniona nigdy namiętność francuza: gra łatwa, nie męcząca myśli; szachistów nawet średniej siły między nimi brak. Daj małemu chłopcu monetę, nie kupi za nią ciastka wprost, ale rzuca na *rouge* i *noire*; historya francuska składa się z partyj, dotąd tylko niekiedy rozgrywanych nieszczęśliwie; za to rujnują się w jednej bitwie. Paryżanie o mało nie zrobili rewolucyi, gdy im Granet zakazał grać na wyścigach.

Ach! ostatnie wyścigi, to jeszcze jedno zwycięztwo Francyi, po którem nie żałuje Waterloo. Francuska klacz Ténébreuse pobiła anglika; okrzyki *Vive Ténébreuse!* przygłuszyły niepopularny już dziś głos: *Vive Boulanger*. Zwierzę zwyciężyło człowieka— rzekłby W. Hugo. Posądzają dziś, że Boulangera strącili Herbette z Bismarkiem. Ja domyślam się czego innego. Znacie z Rabelaisa historyę kamiennego psa i lisa? Bachus, mszcząc się na tebańczykach, posłał na ich pola czarodziejskiego lisa, obdarzonego taką cnotą, że go nie mógł chwycić żaden pies. Wulkan zasię ulał psa, w którego tchnął życie i dał mu dar bezwarunkowej chwytności. „Zdarzyło się, iż się spotkali. Co wypadło? Pies z fatalnego przeznaczenia musiał chwycić lisa, lis po swej cnocie był niepochwytny.“ Jowisz, napociwszy się wiele, zmienił obu w kamienie.

Podobnie stało się tutaj: „opatrznościowym“ człowiekiem Francyi był Boulanger — niebieskimi z drugiej strony zesłańcami Wilhelm, Bismark, Moltke. Opatrzność przeczuwała kolizye: gdzie się podzieje jej urok, jeśli nastąpi spotkanie?.. Myślała o zamienieniu ich w kamienie, poczęła nawet tę operacyę w pęcherzu starego cesarza — lecz zastanowiła się. A nuż potomność poczyni z nich bałwany, jako owe pogańskie? Więc uczyniła roztropniej: przeszkodziła poprostu, aby się spotkali. Tymczasem paryżanom na rozrywkach nie zbywa: porwanie panny Mercedes de Campos w lasku Bulońskim, romantyczna awantura ułożona z góry przez kochanków; zamknięcie barona Seillière, rozrzutnika i gracza w domu obłąkanych, dwa wypadki wypełniające $^3/_4$ szpalt dziennikarskich. Co za naród! Pośród świata oni jedni pozostali dziećmi!

Panna de Campos i pan Mielvaque de Lacour pojechali święcić gody do Londynu i obaczyć przy tej sposobności jubileusz Wiktoryi. O tryumfie! Śród pochodu nie pękła ani jedna dynamitowa bomba. Irlandya milczała, posławszy jeno za godowy kołacz takie przypomnienie: Za jej rządów wymarło dwakroć milion irlandczyków z głodu; cztery miliony wyemigrowało, trzy miliony wypędzono z ojczystych siedzib. Trudno nam wołać z serca *God save the Queen*. „Któżby dbał o nich — rzekł John Bull i już chciał się upić, gdy zwróciła go z drogi apostołka Towarzystwa wstrzemięźliwości na czas jubileuszowy.“

Słowem, maj i czerwiec wesołe: wystawy w Tuluzie i w biednej Wenecyi, w Aix pod koniec b. m. wielka uroczystość ludowa na pamiątkę 400-letniego połączenia Prowancyi z północną siostrą. Zapomniała Prowancya, że to była zła siostra, *sourrastro*, jak mówi Mistral, zapomniała dumnych słów gaskońskiego poety Jasmina:

La pichouno patrio es bien abans la grando
Jeu Francimand? jamai! *)

Florencya za to w maju obchodziła prawdziwie narodowe święto: po pięciu wiekach ujrzała tum *Santa Maria del fiore*, arcydzieło Arnolfa, Brunelleschiego, Giottta, ukończone zupełnie fasadą prof. de Fabris. Patrząc na kopułę Brunelleschiego, Michał Anioł mówił, że chciałby być pochowany tak, aby ją wiecznie mógł oglądać; patrząc na drzwi główne Ghibertiego, mawiał, że godne są być bramą do raju; dzisiejsza fasada nieco przepełniona szczegółami, które się gubią, przynosi przecież zaszczyt italskiej rzeźbie. Dnia 12 maja nastąpiło jej odsłonięcie; oboje królestwo byli obecni obchodowi, piękna Małgorzata, jak ją poufale zowie lud, przycisnęła własnoręcznie guzik elektryczny, rozsuwając olbrzymią zasłonę. Nie to jednak było szczytem uroczystości. Potrzeba było artystycznym florentczykom ze wspomnieniem założenia tumu odwołać z martwych wiek XIII. Stworzyli więc pochód kostiumowy, tem różny od innych tego rodzaju, że nie miał pozoru najemnej maskarady. Wszystkie arystokratyczne rody, niektóre tradycyami sięgające aż owych czasów, wzięły w nim udział; główną figurą był książę zielony, *il conde verde*, czyli Amadeusz VI, z domu Sabaudzkiego, wielki bohater z wojen tureckich. Był to zarazem hołd oddany dzisiejszemu królewskiemu domowi. Po pochodzie turniej, prawdziwy turniej, gdzie kruszono kopie, jeno z mniejszą niż dawniej fantazyą: pancerze trzeba było ścieśniać i miecze przekuwać na lżejsze... Było to śmieszne cokolwiek, ale w zapale ta śmieszność ginęła. Potem przeniesiono Rossiniego do Santa Croce; uczczono Donatella, uczczono Ugona Foscolo. Medyceusze poznali w grobach swą Florencyę — nawet Noc Michała Anioła otwarła oczy na chwilę.

Egrot.

*) Mała ojczyzna przed wielką. Co, ja francuzem? Rrzenigdy!

LIBERUM VETO.

Radość Jagielonów. — Przejazd tryumfalny dziedzica ich tronów po Galicyi. — Czy Jagielonowie istotnie się cieszą? — Czciciele idei. — Ornitolog monarchą. — Braki *Prawdy*. — P. Zucci i jej rycerz Herod. — Ludzie jadający kwaśne mleko. — Mózg w pończosze czyli kwestya gustu. — Honoraryum Mackenziego i nasze skąpstwo. — Pytanie z rachunku. — Zabawy rublowe i groszowe.

A wy duchy Jagielonów
Rozradujcie się w wieczności,
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszej sławy i miłości.

Bez rymów i dla kogo innego, ale toż samo dziś za Odyńcem śpiewają stańczycy, witając austryackiego następcę tronu na ziemi galicyjskiej. A przyznać im trzeba, że jeśli do takiej kantaty nie mają więcej powodów, to niewątpliwie mają więcej praw. W żyłach Habsburgów bowiem płynie dziewiąta woda po kisielu piastowsko-jagielońskim; słusznie zatem rzec można: „A wy duchy itd.,“ czyli, jak to wyraża *Czas* krakowski: „Gdzie stąpi potomek Habsburgów w tej starej stolicy, *wszędzie* napotka grobowce pokrewnych sobie rodów królewskich... Przybycie następcy tronu i jego małżonki w gościnę do nas; nowe dodaje ogniwo do dziejowego łańcucha, ogniwo, które sięga w przyszłość... Od dwóch stołecznych miast, od dworów panów polskich, w których zagości, aż do tych tłumów ludu wiejskiego, które wszędzie na drodze arcyksięcia garnąć się będą — zgodnem tętnem serca, wdzięcznością i błogosławieństwem dla wielkości państwa, potęgi monarchii i sławy domu cesarskiego.“ To znaczy: „A wy duchy Jagielonów rozradujcie się w wieczności.“ Za to wszystko jednak szczególna „wdzięczność i błogosławieństwo“ należy się Cymbarce, która teraz stanowczo powinna być uczczona pomnikiem — i to przed Mickiewiczem. Kto była Cymbarka, czytelnik nie wie, a ja mu tego wcale za złe nie biorę. Od dziś wszakże każdy winien zapamiętać, że gdyby nie ta szanowna córa Ziemowita IV (Piasta) a małżonka Ernesta Żelaznego (Habsburga), nie byłoby jej wnuka Ferdynanda I, męża Anny Jagielonki, od których znowu przy pomocy Domu lotaryńskiego pochodzą cesarz Franciszek Józef i jego syn habsburgo-lotaryngo-piastojagielonida Rudolf. Całą tę sprawę Opatrzności w drobiazgowem drzewie genealogicznem uwidocznił *Czas* wszystkim, co nie wiedzieli, czemu mają krzyczeć: *lebe hoch!*

Ale czy też istotnie „duchy Jagielonów radują się w wieczności“? Wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie, słysząc w Galicyi takie wybuchy lojalności, o jakich nawet Chrobry nie marzył, a zawsze wypadała mi odpowiedź: tym „duchom“ po niejednym artykule *Czasu* musi być bardzo smutno. Do licha — myślę sobie — ten naród stańczykowski bardzo durny; wierzba dłużej się opiera zaszczepionej na jej pniu gruszce, niż oni nowym płonkom rządu. Gdyby chociaż o oktawę niżej krzyknęli: *lebe hoch*, możnaby przypuścić, że zachowali pewną różnicę między Jagielonami a Habsburgami. Tymczasem — nie, przeciwnie podnoszą głos o oktawę wyżej.

Jeżeli — co jest bardzo prawdopodobnem — tak się skarżą, niesłusznie krzywdzą ludzi idei. Znacie historyę słupa z czapką urzędową, któremu kazano się kłaniać i który bardzo oburzył ludność niesforną? Cesarz austryacki jest człowiekiem dobrym, jego syn dobrym i rozumnym, obaj na szacunek poddanych zasługują, ale gdyby arcyksiążę Rudolf przysłał do Krakowa swą czapkę i kazał nią przybrać słup latarniowy, stańczycy oddaliby jej te same hołdy i twierdzili: „Przybycie tej czapki jest nowem ogniwem dzisiejszego łańcucha itd.“ Bo oni nie korzą się przed człowiekiem, ale przed zasadą. Chcecie dowodu? Pius IX był fanatykiem, ale rzetelnym, o dobro wiernych dbałym, a dla polaków bardzo życzliwym — stańczycy go wysławiali; Leon XIII jest zimnym graczem, dyplomatą, samolubem, sprzymierzeńcem wszelkiej siły materyalnej, dla polaków ojczym — stańczycy również go wysławiają, bo — papież. Gdyby na stolicy apostolskiej zasiadł krokodyl, tak samo pisaliby: „Niewyczerpany w swej dobroci i niezgłębiony w rozumie ojciec św.“ itd. Że każdy dostojny przedstawiciel „idei,“ usłyszawszy pierwsze wyrazy przemowy stańczyka, ma wielką chęć przerwać mu: „genug, mein Papenheimer, genug“ — to nie ulega wątpliwości. Swoją drogą, że Cymbarka, poślubiając Ernesta Żelaznego, zrobiła dobrze — to również jest pewnem. Wiwatowanie czystego Habsburga byłoby może nieco kłopotliwem, ale Habsburga z przymieszką piastowsko-jagielońską — „A wy duchy... rozradujcie się w wieczności; oto dziedzic waszych tronów.“ Ach, ta poczciwa Cymbarka. Ona przedstawia dostateczną rękojmię, że arcyksiążę Rudolf będzie monarchą mądrym i polaków kochającym, pomimo wieści przeciwnych, stale twierdzących, że on na tronie, jak i dotąd, będzie tylko ornitologiem, lubiącym w Galicyi polować na orły.

Czytelnicy nasi nie potrzebują nam wyrzucać, bo sam znam doskonale braki *Prawdy*; wiem, że ona zbyt zaniedbuje tak ważne dziedziny życia, jak: teatry ogródkowe, debiuty sceniczne, balet, wyścigi konne — i tym podobne sfery, które dostarczają głównego materyału pismom dziennym. Nieraz aż mnie dreszcze przebiegają, gdy wezmę do ręki *Kuryer* i co rzucę okiem, to trafię albo na *Brahmę*, albo w pp. Żelazowskiego i Fiszera, albo w *Nitouche*, albo w „Vaselinę.“ Boże — wołam wtedy — czyż mnie już nigdy nie oświecisz, w czem tkwi — jak mówią reporterzy warszawscy — *great attraction*? (W nawiasie dodam, że ci lordowie prasy naszej używają jeszcze: *all right, that is the question, be or not to be, speech* i *high life*). Jeden ze znajomych zrobił mi nawet wymówkę: „Pan się zajmujesz Hygeią, a tymczasem nie widzisz *Państwa Wacków*.“ „Kiedy Hygeia jest piękną — rzekłem — ja ją kocham.“ „Już wolałbym Zucchi“ — odparł. Zucchi? pomyślałem zawstydzony — co to za licho? Chwytam *Kuryery*, które mnie kształcą w „aktualności,“ szukam... a! Już dalej machinalnie przerzucam kartki, gdy w jednym z nich znajduję obszerny artykuł, w którym to nazwisko ciągle się przewija. Była to korespondencya *Sowr. Izwiestii* z Warszawy. „Można sobie wyobrazić — pisze nieoceniony autor — moją radość, kiedym się dowiedział, że zobaczę Zucchi, powiewną Zucchi, ten zefirek wiosennny w postaci ładnej kobiety.“ Zaledwie „wyobraziłem sobie,“ o ile mogłem, spostrzegam, że nieoceniony korespondent zmienił nastrój swojej sympatyi i wypiwszy kielich zachwytu, rozbił nim zwierciadło, rozgniewany na polaków. Rozgniewany za to, że 1) nie uczcili tak znakomitej „artystki“ z powodów politycznych, 2) że „trzęsąc się o każdy grosz i głodząc“ (gdyż „obiady jadają co 2 lub 3 dni i najczęściej karmią się kwaśnem mlekiem“), nie kupują najdroższych miejsc w teatrze, 3) że „w pończoszce Zucchi jest więcej *mózgu*, niż we wszystkich razem Pelchenbrzeckich (?), którzy przez ośli upór pomijają sposobność oglądania pierwszej tancerki na scenie,“ 4) że dla tych Pelchenbrzeckich rosyanie muszą za swoje pieniądze słuchać różnych bredni z wiecznymi mazurami i konfederatkami,“ 5) że chociaż „w Warszawie jest więcej niemców i żydów niż polaków,“ istnieje teatr polski, który powinien być zniesiony.

Sie tantzt mich rasend — ich werde toll,
Sprich Weib, was ich dir schenken soll?
Heda! Trabanten, Läufer,
Man schlage ab das Haupt dem „polnischen“
[Theater.

Czyżby p. Zucchi była Herodyadą? Nie, ale korespondent ma wyraźną ochotę zostać Herodem. *Gazeta polska* usiłuje go wyleczyć z tej zachcianki całą apteką środków polemicznych — ja zaś nie mam na to miejsca i nie wierzę w skuteczność kuracyi. Zauważę tylko nieocenionemu autorowi: szanowny i doskonale poinformowany panie, skutkiem czego polacy, słynni w całej Europie z marnotrawstwa i kuchni, teraz „trzęsą się o każdy grosz, głodzą i najczęściej karmią kwaśnem mlekiem“? Ponieważ niepodobna, ażeby tak nagle i radykalnie zmieniła się ich natura, więc wartoby sprawdzić: może oni rzeczywiście zbiednieli i z jakich przyczyn „jadają obiady co 2 lub 3 dni“? Gdybym był szczęśliwcem *in partibus infidelium*, zaopatrzonym w dostatki, zwłaszcza po sutej uczcie i wielu kielichach, możebym również odnalazł „mózg w pończoszce“; ale po kwaśnem mleku — szuka go się co najniżej w głowie. A polityka? Jak nie rozumiem nienawiści do fikających nóg, tak nie rozumiem zaczepionego o nie patryotyzmu. P. Zucchi jest włoszką, ale dlatego, że podskakuje od pewnego czasu w Petersburgu, już korespondent dostrzegł w „jej pończoszce mózg,“ a w obojętności polaków demonstracyę. Upewniam go, że gdybym na scenie londyńskiej oglądał „wymowę nóg“ jakiejś baletniczki polskiej, tyle by to mój patryotyzm wzruszyło, ile występ „Mandany“ p. Grabowskiego w angielskich wyścigach. Przedstawienie baletowe widziałem raz jeden w życiu, we wczesnej młodości i wtedy ślubowałem sobie, że w tego rodzaju sztuce miłości ojczyzny nie umieszczę. Korespondent przeciwnie tam przeniósł główny punkt jej ciężkości i gniewa się na rozbieżność upodobań. Kiedy to, szan. panie, kwestya gustu: jeden woli zsiadłe mleko, a drugi „oczyszczoną,“ jeden — mózg pod czapką, a drugi w pończoszce. Dowodem: Turgeniew, Szczedryn, Tołstoj i in., których utwory są u nas czytane, chociaż rosyjskie, p. Essipow, której koncerty są słuchane, chociaż artystka jest rosyanką itd.

W końcu małe porównanie. Cesarz niemiecki kiedyś swemu rówieśnikowi i towarzyszowi dzieciństwa dał 6... talarów; doktorowi Mackenziemu za trzykrotny przyjazd do Londynu i wycinanie nowotworu z gardła następcy tronu zapłacił 10,000 marek, co bez różnicy kursu wynosi 3,000 rs. Polscy panowie, sprowadzając słynnych chirurgów zagranicznych, płacili po 10,000 rs., a 1,000 rs. za wyjazd lekarski nie należy u nas do rzadkości. Jeżeli zaś cesarz niemiecki tyle przeznacza słynnemu doktorowi za kuracyę swego syna, przyszłego władcy Niemiec, to ileż spożywacz kwaśnego mleka może ofiarować na p. Zucchi?

I znowu muszą się „zatrząść nad groszem,“ co już bardzo słusznie zrobił Prus w *Kuryerze*. Tegoroczni organizatorowie zabaw publicznych postępują tak, jak gdyby chcieli dogodzić korespondentowi *Sowr. Izwiestii*, niecierpiącemu groszów, lub uwierzyli giełdzie berlińskiej, twierdzącej od lat wielu, że ruble powinny służyć za tapety. O ludziach jadających „kwaśne mleko“ całkiem zapomniano: tu wejście kosztuje rubla, tam dwa, tam trzy — zupełnie według kursu berlińskiego. Nawet z zabawy nawskróś ludowej, z Wianków, zrobiono rozrywkę mieszczańsko-pańską. I cóż ten lud warszawski? Włóczy się po krawędziach miasta i szynkach, albo wreszcie od pewnego czasu... słuchajcie, bo to najradośniejszy fakt ubiegłego tygodnia: „Na tak zwanym folwarku świętokrzyzkim — pisze *Kuryer warsz.* — urządzane są w święta i niedziele popularne koncerty, z opłatą dziesięciogroszową od osób dorosłych, dzieci zaś z rodzicami mają wstęp bezpłatny. Urządzenie to cieszy się powodzeniem i spory ogród — nawiasem mówiąc, dosyć zaniedbany i pozbawiony wielu dogodności — szczelnie się zapełnia w dni koncertowe. Taka stała opłata daleko jest praktyczniejszą, aniżeli ciągłe niepokojenie gości przez obchodzących „z nutami.“ Wczoraj ogród miał parę tysięcy gości...“

Przecie...

Poseł Prawdy.

POD MIKROSKOPEM.

I.

Proszę tylko czytać uważnie.

Kuryer warszawski z Poznania: „Z wielu stron słychać, że oferty sprzedaży (majątków polskich komisyi kolonizacyjnej niemieckiej), sypią się jak z rogu obfitości; „jeżeli dotychczas wielu ochotników w kierunku „kurczenia ojcowizny“ nie sprzedało swych włości, to *jedynie* z powodu, że komisya kolonizacyjna, widząc *formalny szturm* do jej milionów, staje się bardzo *wybredną* i większą część zalotników *odprawia z kwitkiem.*“

I ja brutalów nie lubię, ale raczcie mi powiedzieć, szanowni dozorcy filtrów dziennikarskich, jaki to wyraz dla oznaczenia tej niecnoty może być silny? Gdyby np. rzekł: że zalotnicy są nierządnikami, gorszymi od nierządnic, bo sprzedają to, co nie do nich samych, ale i do przyszłych pokoleń należy“ — czy byłoby to za mocno? A gdybym ich nazwał workami Judaszowymi? Zresztą po co te wymysły! Policzek wymierzony czystą ręką jest dotkliwszy, niż uderzenie garścią błota. Wystarczy ogłosić publicznie: panowie polscy w Poznańskiem przypuszczają „formalny szturm“ do komisyi kolonizacyjnej, ofiarując jej swoje majątki.

Jak to niedawno przedstawiciele tych panów, których „wąż sercem a proch rdzenią,“ wołali w sejmie do niemców: nie wydrzecie nam ziemi! A dziś? Dziś trzeba chyba wziąć smutnie nastrojoną lirę i śpiewać ze Słowackim:

> Polski lud — to ojciec twój.
> Zeń, jak z cierniowego krzaka
> Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
> Z wichru mając twarz i lice,
> I na ciebie jak na świecę,
> Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć.

Bo tylko ten lud dochowuje miłości swej ziemi. Tak zwana szlachta przedniemi i tylnemi drzwiami wchodząc, wyciąga rękę po srebrniki do komisyi, która stała się „wybredną“ i „odprawia zalotników z kwitkiem.“ Cała woda Wisły nie zmyje plamy z tych rąk.

Nie unośmy się, bo nie myślimy odbierać sobie życia, lecz je podtrzymywać. A przytem należy powiedzieć całą prawdę. Owi „zalotnicy odprawieni z kwitkiem“ nie tracą otuchy, bo „zarząd niemieckiego Związku wysłużonych żołnierzy (*Kriegerbund*) odniósł się do komisyi kolonizacyjnej z propozycyą nabywania mniejszych dóbr i folwarków, które pragnie obsadzić swymi członkami, mającymi kiedyś z dzierżawców i rządców tych parceli stać się ich właścicielami.“

No, panowie do „tańca śmierci“!

„Dlaczego honor ma przeżyć cnotę?“ — pyta Shakespeare. Dlatego — odpowiedzmy mu z Poznańskiego — że w cennej obwijce jak cuchnący ser w cynowym papierze smakuje światu. Krzyknij w ludzki las za Schillerem: „uczciwy człowiek myśli o sobie na ostatku,“ echo ci odhuknie: „głupiś bratku!“

Dzięki tej moralności, wiecie czyje imiona ryje prasa na pamiątkowej tablicy. Tych, co nie sprzedali swojego majątku lub kupili cudzy na licytacyi z komisyą kolonizacyjną. Tak uczczono niedawno pewną matronę poznańską. Nie podaję jej nazwiska, bowiem trąba sławy krzywdzi spełniony obowiązek.

Rozsławiłbym nazwiska „kurczycieli ojczyzny, gdyby prasa nie rzucała na nich wspaniałomyślnie zasłony. Bezimiennie więc tylko krzyczę do nich z całej mocy:

— Zacni panowie, w górę czoła,“ *Kriegerbund* ma dużo pieniędzy.

II.

Kto się skarży na drożyznę? Dziś wszystko staniało — a zwłaszcza cnotę, uczciwość można kupić za bezcen. *Kölnische Ztg*, która dawno pozbyła się tej szczeciny za miejsce przy korytku gadzinowem, radzi swym ziomkom ogłosić zupełną wyprzedaż papierów wartościowych rosyjskich niżej kosztu, gdyż — według niej — nic nie ręczy, że wkrótce nie wyjdzie nowy ukaz, ogłaszający niewypłacalność dłużnika. Co tam wyjdzie — nie wiem, ale z pewnością tak tanio nie będziemy kupowali desek i zboża niemieckiego w Królestwie, jak prusacy u siebie po wygnanych polakach, którym kazano w ciągu kilku dni Gdańsk opuścić. Wtedy można było dostać belkę za 10 fenigów, maszt za markę, a korzec żyta za półtory. Oto był dowcipny i skuteczny sposób obdzierania cudzej skóry na buty dla siebie. Ma u nas niemiec fabrykę w mieście? Pozwalają mu ją prowadzić. Posiada majątek ziemski? Pozwalają mu na nim dożyć, a dzieciom 3 lata przetrzymać. Jest czas do zbycia. W Prusach na odstąpienie fabryki lub majątku niemcowi, pozostawiono nieraz parę tygodni.

Trzeba napisać nową geografię i oznaczyć granice dziczyzny i barbarzyństwa; trzeba na tej mapie obciągnąć pruską barwą krainę gwałtu i kłamstwa. Oni cywilizowani!

Stary Will dobrze powiedział: „Kundlica prawda winna leżeć w budzie, do której ją wypędzają, gdy suczka pycha może stać przed kominkiem i cuchnąć.“ Tego przywileju używa kultura niemiecka wobec upośledzonej moralności. Zdechnie ta suczka niedługo, jeśli nawet zerwawszy się z łańcucha kundlica jej nie zagryzie.

III.

Czy nie uważasz ze mną czytelniku, że austryacki następca tronu za długo siedzi w Galicyi—dla nas? Tak mi się zdaje. Przeczytać codziennie kilka kolumn telegramów donoszących: hr. Tarnowski przemawiał, przemawiał hr. Tarnowski, przybyła deputacya, deputacya przybyła, łuk tryumfalny, tryumfalny łuk itd. — a książe powtarzał: dziękuję za wspaniałe przyjęcie, za wspaniałe przyjęcie dziękuję—okropność! Wsadź słomkę w szklankę wody i dmuchaj, będziesz miał w bulgotaniu taką samą rozkosz i urozmaicenie. „Wszędzie przy do kaplicy domowej (Sanguszków) — powiada depesza — stanął przy historycznym stole marmurowym.“ Wreszcie z ogrodu „powrócił do zamku, pożegnał gospodarza, wsiadł do powozu“— no i — naturalnie—odjechał. I wszystko to się telegrafuje dla uciechy *tutejszych* czytelników. Czy niemcy męczą drut telegraficzny takimi szczegółami podróży *swego* następcy tronu? Nie, bo ich prasa nie da się użyć magnatom za zwierciadło odbijające zbytek i bogactwo wielkopańskich dworów. A o to głównie chodzi w tych sążnistych depeszach, żeby bliższej i dalszej gawiedzi pokazać, co Potoccy, Tarnowscy i Sanguszkowie posiadają w swych pałacach. Przecie aż dostojnemu gościowi włożono w usta słowa, że go przyjęto wspanialej, niż królowę Wiktoryę podczas jubileuszu, który kosztował kilkadziesiąt milionów rubli. W tem tkwi ważność tego „dziejowego faktu.“

Kto wie, czy my jeszcze nie wjedziemy do Rzymu na koniach złotem podkutych, gdy papież odzyska władzę świecką? Już czytam depeszę: „Ojciec św. stanął, a hr. Tarnowski przemówił.“

Ale doprawdy dość już tego „faktu historycznego,“ odpocznijmy, zwłaszcza że i p. Z. Sarneckiemu należy się wytchnienie po kilku tomach dziejów wielkiej uroczystości.

Gezyasz.

NA WIDNOKRĘGU.

Szał natury. — Szajka Zambrowska i jej czyny. — Pożary. — Potęga i spryt łotrów. — Motory ukryte. — Towarzystwo ogniowe; do czegoby posłużyły zmiany niektórych punktów ich ustawy? — Niemiłosierny kamienicznik. — Delikatność naszej prasy. — Szczęśliwe i nieszczęśliwe pracownice w zakładzie rękawiczniczym. — Giętkość niemców w stosowaniu się do nowych rozporządzeń. — Międzynarodowe sprawy powiślan.

Na widnokręgu same klęski. Natura szaleje, jakby się uwzięła na ród ludzki w celu zagłady „maluczkich“ i nędzarzów. Burze, trąby powietrzne, rujnują chaty włościańskie i zabudowania gospodarskie, zabijają inwentarz, a pioruny — ludzi. Przesądni upadają na duchu, przewidując blizki koniec świata. Są tacy, na których apokaliptyczne przepowiednie nie robią wrażenia; odrętwieli pod brzemieniem klęsk, bo na cóż im życie, gdy nad głowami niebo, w spichlerzu pustki, a na polach zamiast kłosów pełnych — piaski? Ulewa z gradem zmyła urodzajną warstwę ziemi wraz z zasiewami. Tak w Kieleckiem. Gorzej na Powiślu. Matka rzek polskich niemiłosierna. W Lubelskiem mieszkańców *czterdziestu* wsi o wielką nędzę przyprawiła. Uprawne niwy włościańskie zatonęły. Zboże ozime i jare zupełnie stracone. Nadto we wsi Zastów, w pobliżu Kazimierza, woda podmyła domy i budynki gospodarcze. Mieszkańcy tamtejsi, doświadczeni, skosili zboże niedojrzałe na paszę dla bydła. Tyle skorzystali ze świetnie zapowiadających się urodzajów. Obok plag z wysoka, są inne od ludzi pochodzące. Złodziejstwo i podpalanie ogromną popularność i... tolerancyę u nas zyskały. Takie tylko „stowarzyszenia“ tworzą się bez przeszkód i olbrzymieją. Okradani muszą płacić haracz, bo inaczej—ogień i śmierć. Sąd łomżyński ujawnił straszne rzeczy. Dorota Grünwald na pierwszem zeznaniu nie chciała nic powiedzieć, na drugiem przyznała się, iż złodzieje wywierali na niej srogą zemstę i w niewolę zaprzęgli. Raz podpalili, w tym pożarze zginęło dwóch jej synów; zrozpaczona matka musiała milczeć, by śmierci uniknąć. Odtąd szajka gościła u niej, ograbiała i kazała przechowywać skradzione rzeczy. Mieszkańcy niektórych wsi, nie mając sposobu wyzwolenia się z pod jarzma złoczyńców, życie swe przeklinają. Jeden ze świadków rzekł wobec sądu, iż w razie uwolnienia uwięzionych opryszków, cała gmina bunt przeciwko nim podniesie. Ciekawe są zeznania innych. Niejaki Nyszka Markiewicz wybudował sobie dom z drzewa zdobytego groźbą i „prośbą“ od mieszkańców wsi Mężeniki, Judka Markiewicz w jesieni jeździł po wsiach zbierać „dziesięcinę“ i za jedną noc przywoził po pięć wozów pszenicy i innych produktów. W ciągu ostatnich siedmiu lat obaj, oraz Laska Kronenberg stale zbierali od mieszkańców wsi Woli „kolendę,“ tj. siano i słomę. Włościanin Ludwik Romantowski zeznał, iż Judka Markiewicz zrujnował go: „Nie zapłaciłem — powiada — Najjaśniejszemu Panu tyle podatków, co temu Judce.“ Lejba Pietruszka wałęsał się po całej parafii szumowskiej i ściągał haracz. Jankiel Lipowicz z synami, których zwano „Poryckimi,“ dla tego, iż często zjawiali się we wsi Porycezbierali daniny groźbą. Zuchwali złoczyńcy wchodzili w ugody z uciskanymi, raz, co skradli — zwracali za pieniądze, to znowu ludzili tylko, opijali i objadali poszkodowanych, bili ich, zmuszali do milczenia i ukrywania skradzionych rzeczy.

Wszystkie powyższe fakty z Łomżyńskiego tyczą się najzuchwalszej „Szajki Zambrowskiej.“ Głównem jej rzemiosłem koniokradztwo. Pod tym względem doskonałość szczytu dosięgła. Złoczyńcy zaopatrywali się w świadectwa, wydawali je wzajemnie sobie, a wójt w prostocie ducha podpisywał. Sprytny Lejba Kronenberg brał z gminy świadectwa na sprzedaż koni upatrzonych do skradzenia. Inni fałszowali dokumenty. Szajka miała swoich „robotników,“ od których kupowała konie po 5 rs. za sztukę. Dochodziło do tego, iż kto szedł do szynku wypić wódki, brał kwaterkę w jedną rękę, a w drugiej trzymał konia. W czasie posiedzenia sądu gminnego, strony i świadkowie nagle wybiegali, wołając, iż konie im kradną. U włościanina Piotra Modzalewskiego w ciągu trzech lat skradziono pięć koni, bito go przytem i grożono bezustannie. Doprowadzony do rozpaczy, musiał sprzedać ziemię z domem i przenieść się do innej gminy. Za jego przykładem poszedł Wincenty Penkala. Łotry nie poprzestając na kradzieży, grabili. Na targu obstępowali włościan i kazali im sprzedawać pszenicę za połowę ceny. Zemsta ich była straszna. Skradziono sześć koni i otruto dwa jednemu gospodarzowi za to, iż nie dawał siana darmo. Takie wypadki były na porządku dziennym. Czasem zabijano ludzi, nawet współwyznawców, za pokazanie drogi, kędy konie uprowadzono.

Nietylko lud, szlachta również musiała płacić daninę szajce zambrowskiej.

Analogiczna sprawa z powyższą — pożary. Cierpi najbardziej Litwa, a szczególnie Mińsk i Słuck. Pierwszy, dzięki podpalaniu, w ciągu kilku ostatnich lat rozrósł się i wypięknial. Nie dziw; stosowana tam jest gospodarka ogniowa, jak w lasach dla bujniejszej trawy, to też w miejsce chałup dawniejszych wyrastają kamienice kilkopiętrowe. Zdaje się, że przyjdzie czas, gdy nad nami wszechwładnie zapanują łotry, a my, niewolnicy, u stóp ich będziemy słuchać rozkazów. Już dziś drwią ze wszelkich skrzydeł opiekuńczych, rozrzucają ogłoszenia z wymienieniem dnia, godziny i miejscowości, gdzie będzie pożar. Czujność zdwaja się, miejsce wymienione straż otacza, zbierają się gromady ciekawych, oczekują z trwogą i niecierpliwością „widowiska.“ Punktualność zdumiewająca. Czas oznaczony nadchodzi i wzbija się słup płomieni. Na to hasło w kilku innych punktach zjawiają się pochodnie. Znaczna część miasta w ogniu, straż bezsilna, a złoczyńcy szydzą z uzbrojonych w oręż i prawo. Czyż nie słusznie? Wszakże lepiej zakpić nie można! W Słucku mieszkańcy sami usiłują bronić swego życia i mienia. W tym celu wspólnym kosztem najmują stróżów nocnych, utrzymują w mieszkaniach i na dachach znaczne zapasy wody. Łotry w mieście prowincyonalnem kształcą się na wzorach mistrzów z metropolii, tak samo rozrzucają obwieszczenia i wypełniają sumiennie program. Gdzie tu się kryją główne motory? Oto na gorącym uczynku przyłapano niejakiego Josiela Ajzensztern, 19-letniego chłopca, który podjął się podpalenia *za trzy ruble*, obiecane przez współwyznawcę Bejlina, właściciela domu ubezpieczonego w towarzystwie „Salamandra“ za sumę dwa razy wyższą od wartości realnej. Skoro obrońcy spokoju i mienia publicznego bezsilni, należy szukać innych sposobów ratunku. Zło ma zanadto szeroką drogę, dobrowolnie torowaną przez takie instytucye, jak Towarzystwa ogniowe. Przyjemnie za wielką asekuracyę pobierać wielką kwotę, ale czyż doświadczenie dotychczas jeszcze nie nauczyło, iż to jest zanadto hazardowna gra, którą szulerzy mogą śmiałków do ruiny doprowadzić? Zresztą nie jestem tak dalece kompetentnym w tej sprawie, może Towarzystwa posiadają tak olbrzymie fundusze, że gra nie przynosi im uszczerbku, a może mają inne tajemnice, których nie umiem zrozumieć. W każdym razie wypadałoby dla ukrócenia nadużyć pomyśleć o zreformowaniu choć kilku ważniejszych punktów ustawy: 1) szacować nieruchomość jaknajniżej, 2) badać ściśle przyczyny pożaru, 3) poznawać sumiennie we wszelki możliwy sposób stronę moralną właściciela. Ta ostatnia powinna w wielu razach podlegać kontroli i surowemu sądowi ogółu, tem bardziej, że kodeks karny nie przewiduje takich naprzykład wypadków: W Lublinie pewien właściciel domu, „do tego chrześcianin“ — jak dodaje gazeta miejscowa — w czasie ulewnego deszczu wyrzucił na ulicę za pomocą komisarza sądowego „rupiecie i łachy“ biednej starej wdowy, która u nóg gospodarza z płaczem błagała na klęczkach o pozwolenie chociaż na kilka dni złożyć łóżko z pościelą (wyłączone z zajęcia za komorne) u jednego z lokatorów tegoż domu. Okrutny kamienicznik nietylko prośby nie uwzględnił, lecz *zabronił* wszystkim swoim lokatorom okazywać nieszczęśliwej współczucie w formie realnej. Komornik tknięty litością, nie żądał kosztów zajęcia i eksmisyi i gotów był drugi raz zejść, byle tylko dać czas schorzałej kobiecie na dobrowolne wyprowadzenie się. Napróżno! Nieludzki człowiek nie pozwolił nawet wyrzuconych rzeczy zostawić na podwórzu. Oczyszczone mieszkanie jest przerobioną z chlewa wilgotną norą o dziurawym dachu, kędy deszcz pozalewał staruszce jedyną własność — zgniłe „meble.“ Co to za ludzie ci lokatorowie, którzy boją się przygarnąć do siebie wyrzuconą kobietę? Czy właściciel (podobno „inteligentny“) jest panem życia i śmierci mieszkańców swego domu? Ciekawa zależność, którą warto, aby *Gazeta lubelska*, będąca u źródła, postarała się publicznie wyjaśnić, ale z wymienieniem imienia i nazwiska niegodziwca. Prasa nasza bawi się w dziwną drażliwość i grzeczność. Opisuje z oburzeniem karygodne czyny, ale nazwiska łotrów starannie ukrywa, poprzestając tylko na gwiazdkach, iksach, „pewnych“: wioskach, miastach, ulicach, domach itp. Pisma prowincyonalne gorliwie naśladują „delikatność“ stołecznych. I kronikarz łódzki, bardzo pożyteczny dla miejscowego *Dziennika* współpracownik, zarażony szczególną metodą grzeczności, pisze, iż w *pewnym* zakładzie rękawiczniczym, prowadzonym na wielką skalę, pomiędzy mnóztwem pracownic są bardzo szczęśliwe, bo mrą z głodu. Zawdzięczają to przykrawaczom, buchhalterom i dozorcy, dostają lepsze maszyny, zyskowniejszą robotę i nie płacą kary za zepsute rękawiczki. Za to w rubrykach statystycznych poważne miejsce zajmują nowonarodzeni obywatele, żywi lub umarli, znalezieni pod płotami. Dziewczęta wyrzekające się „szczęścia,“ cierpią bardzo. Dawniej płacono im po 30 kop. od tuzina uszytych rękawiczek, obecnie po 20, a kara za tuzin zepsutych wynosi 50 kop. Także w *pewnym* „zarządzie łódzkiej instytucyi społecznej“ kwestya filologiczna była niedawno w toku. Władza w miejsce gwary niemieckiej kazała posługiwać się w sprawach pozadomowych językiem państwowym lub miejscowym.

Nadużycia wszelkiego rodzaju są przy odpowiednich warunkach wyborną szkołą, w której się hartuje cierpliwość ludzka. Dzięki temu tak doskonale dziś już jesteśmy wyrobieni, że możemy lata całe oczekiwać spokojnie zmiłowania, choć z nas będą śmiać się głośno i szczutka w nos dawać. Na taki hart długoletni wystawieni są rolnicy kresowi w Królestwie Polskiem. *Warsz. Dniew.* pisze o tem: W r. 1880 rolnicy nadwiślańscy udali się do ministeryum spraw wewnętrznych z prośbą o uregulowanie stosunków tutejszych mieszkańców, tudzież obywateli austryackich i niemieckich co do praw do Wisły. Austryacy zanieczyszczali wodę w górze rzeki, spuszczając do niej rozmaite odpływy z fabryk, wskutek czego ryby zamierały, a rozkładając się, psuły i zatruwały powietrze. Prośbę uwzględniono; w r. 1883 w Berlinie zwołano kongres delegatów rosyjsko-austryacko-niemieckich. Uchwalono tam utworzenie komisyi dla zbadania pod tym względem potrzeb mieszkańców Królestwa. Prace jej miały być przedstawione komitetowi mieszanemu, który na

podstawie owych danych winien był opracować specyalne przepisy, regulujące prawa powiślan wszystkich trzech państw. Odtąd minęło już lat wiele, a mimo to wszystko pozostaje w niepożądanem *status quo ante*. Ze strony Galicyi szkody nie są jeszcze tak znaczne, ale prusacy po dawnemu pływają po wodach Wisły w Królestwie, puszczając się czasem o 25 wiorst od granicy w głąb kraju w celu nieprawnych operacyj handlowych, które za kontrabandę uważane być winny. Straż celna nie może skontrolować tych nadużyć z powodu wielkiego ruchu na wodzie, tembardziej, że zatrzymanie pruskiego statku pociąga za sobą mnóstwo nieporozumień, wyjaśnień dyplomatycznych i przyczepek ze strony niemców, kończących się tem, że trzeba im jeszcze zwracać jakieś straty. Nadwiślańscy obywatele Królestwa, jak donoszą *Birż. Wied.*, ponowili prośbę. Byłoby bardzo pożądanem, aby ministeryum spraw wewnętrznych skłoniło do gorliwszego zajęcia się tem komisyę, która już od ośmiu lat istnieje, a tak jeszcze mało zrobiła.

Drogomir.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta polska, spierając się dalej z *Now. Wremieniem* o Bank włościański w Królestwie polskiem, który gazeta petersburska chciałaby wyzyskać tylko dla pewnych żywiołów, powiada:

I mieszkańcy polscy w Chełmskiem nie mogą podlegać tym wyłączeniom, jakich żąda dla nich mijający się z własną swoją logiką publicysta z nad Newy. I dla nich bank powinien nieść takie same usługi, jakie ma przynosić reszcie ludności zamieszkującej bądź „Ruskie Zabuże,“ bądź okolice nadwiślańskie. Niema bowiem żadnej dobrej przyczyny robić etnograficznych różnic w wydatkowaniu funduszów, skoro się nie uwzględniało „etnograficznego“ ich pochodzenia. Jeśli równość w obliczu państwa rozciąga się do pieniędzy, jakiekolwiek jest ich źródło, to rzecz jasna, iż nie może nie rozciągać się także do ludzi, którzy mają z nich użytkować. Co najmniej, przydatność Banku musi tu być jednakowa dla wszystkich, czyli, innemi słowy, zarówno Bank powinien wspierać potrzebujących jego pomocy rolników w Chełmskiem, jak i gdzieindziej w obrębie zakreślonej dlań działalności. Idea niwelacyjna, wyznawana przez *Nowoje Wremia*, nieznosi przecież, aby w całości państwa istniały samoistne, usuwające się z pod ogólnego strychulca, względy narodowe.

Zastrzeżenia, jakie rzeczone pismo pragnęłoby wprowadzić do ustawy projektowanego Banku tem są nielogiczniejszemi, że gazeta p. Suworina tak jeszcze niedawno wygłaszała wielce uczuciowe maksymy o braterstwie ludów słowiańskich i konieczności wzajemnego dopomagania sobie nawzajem.

W liczbie czytelników gazety nadnewskiej nie znajdzie się zapewne wielu tak dalece nierozwiniętych, aby nie rozumieli, że ustawa Banku włościańskiego uchwalona w myśl *Nowego Wremieni*, byłaby środkiem represyjnym, wymierzonym przeciw narodowości polskiej, zamiast być dziełem rzetelnej opieki państwa nad krajem. Miałaby ona w rzeczy samej duchowe powinowactwo z komisyą kolonizacyjną w Poznańskiem, lubo na mniejszą mogłaby działać skalę. Chcąc nadać jej taką dążność *Nowoje Wremia* poczytuje tem samem państwo i kraj jako zostające w stanie walki z sobą, a przyszły Bank za gatunek twierdzy, z której sypać się mają na przeciwnika ostre pociski. Ale jeśli tak się sądzi, to po cóż swoje rycerskie opinie ubierać w szatę spokojowych interesów państwa? Pocóż zwłaszcza zaniewać się na prasę polską, że na serdeczne jakoby odezwy dziennikarstwa rosyjskiego odpowiada — milczeniem? Wszak stosunek rzeczywisty pomiędzy „ziomkami“ aż nadto wymowny znajduje wyraz w zapatrywaniach gazety p. Suworina na cele Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem. **Dodawać z naszej strony barw do tego obrazka byłoby podobno zbytecznem tylko jego upiększaniem. I tak jest już wcale ładnie.**

KRONIKA BIEŻĄCA.

Poddanym zagranicznym, członkom komitetu dyskontowego w filii Banku państwa w Tomaszowie, polecono podać się do dymisyi.

Kurator okręgu naukowego dorpackiego bawił w Petersburgu dla ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy przekształcenia uniwersytetu (gdzie dotychczas wykłady odbywały się w języku niemieckim), tudzież przywrócenia wszystkim starożytnym miastom w kraju Nadbałtyckim ich dawniejszych nazw. Nadto poczynił starania o nadanie nazw rosyjskich tym wsiom, gdzie są świątynie prawosławne.

Główny zarząd poczt i telegrafów wydał rozporządzenie, aby w dniu zaćmienia słońca komunikacya telegraficzna odbywała się bez żadnych przeszkód i zwłoki w tych miejscowościach, gdzie będą czynione obserwacye.

Przepisy o użyciu marek stemplowych i papieru stemplowego, prostego, oraz aktowego, zawierają następujące ważniejsze punkty: 1) papier stemplowy prosty w cenie 60 kop. sprzedawany być winien po 80 kop. za arkusz, o czem na każdym musi być notatka, opatrzona pieczęcią Izb skarbowych i podpisem urzędnika; 2) przy naklejaniu powinny być używane marki cen dawniejszych (60, 15, 10, 5 kop.) w takiej ilości, aby suma ich wynosiła cenę obecną stempla; 8) dla nowej opłaty służą dawne marki 15 kop.; 4) komory celne, wydające ogłoszenia drukowane na papierze stemplowym 60 kop., muszą pobierać dodatkowo marek za 20 kop od każdego arkusza.

Moskows. Wied. donoszą, iż czynna w Warszawie od lat kilku komisya rewizyjna w sprawie ustaw emerytalnych, wniosła obecnie do ministeryum skarbu raport, zawierający materyały statystyczne i oparte na nim obliczenia, oraz projekt środków pogodzenia ustawy emerytalnej miejskiej z dokonanemi w ostatnich czasach zmianami administracyjnemi. Ministeryum, zbadawszy kwestyę wszechstronnie i mając na uwadze znaczne straty skarbu z powodu opłat emerytury, uznała za konieczne przystąpić natychmiast do uporządkowania instytucyi emerytalnej w Królestwie Polskiem i przedstawić odnośny projekt Radzie państwa podczas sesyi jesiennej.

Ministeryum spraw wewnętrznych projektuje urządzenie w Moskwie stałej wystawy i bazaru wyrobów rzemieślniczych dla ułatwienia zbytu i rozpowszechnienia produkcyi.

Główny wydział statystyczny w ministeryum spraw wewnętrznych zbiera dane o ruchu prasy peryodycznej w całem państwie w okresie r. 1885—86.

Komisya przy ministeryum dóbr państwa opracowała specyalne przepisy, na mocy których każdy właściciel ziemski, pragnący przystąpić do osuszania błót lub pól, winien wystąpić z podaniem do ministeryum i zabezpieczyć wartość robót swoim majątkiem, po czem ministeryum skarbu wydawać będzie pożyczki na pokrycie kosztów do wysokości dochodu z pól osuszonych. Nowe przepisy będą zastosowane w ciągu bieżącego lata przy robotach tego rodzaju w kilku guberniach cesarstwa.

Zapis. Zmarły niedawno w Warszawie Sabin Kaniszewski zostawił 7,000 rs. w listach zastawnych, od których procent roczny ma być obracany na dwa stypendya dla uczniów gimnazyum kieleckiego, nazwiska zapisodawcy, pochodzących z osady Szydłów, pow. stopnickiego; w braku zaś tychże—dla uczniów obywateli powyższej osady, wyznania katolickiego.

Nowy telefon. Dwaj elektrotechnicy monachijscy Mestern i Helldobler, wynaleźli nowy rodzaj telefonu, który mówione przezeń wyrazy przenosi na odpowiednio przyrządzony papier.

Ks. Drucki-Lubecki założył w swych dobrach litewskich fabrykę wełny z drzew iglastych. Produkt ten idzie do Warszawy, gdzie używany jest zamiast trawy morskiej w tapicerstwie meblowem.

Matejko ofiarował arcyksięciu austryackiemu Rudolfowi obraz swój p. t. „Pieśń.“

Bezpłatna nauka jedwabnictwa w Bogucinie p. Boguckiego rozpoczęła się d. 4 b. m. Wykłady odbywają się w poniedziałek od 10-ej rano. Dotąd zapisało się 50 osób, przeważnie kobiet.

Konkursy. Z dniem 1 września r. b. upływa termin nadsyłania utworów dramatycznych na konkurs imienia Alojzego Żółkowskiego. Najlepsza sztuka, osnuta wyłącznie na tle stosunków współczesnych i posiadająca wszelkie warunki sceniczne, otrzyma 1,000 rs. nagrody. W razie nieprzyznania żadnemu utworowi jedynej nagrody, komitet ma prawo rozdzielić fundusz na dwie części: 600 i 400 rs. Prace konkursowe nadsyłać należy do redakcyi *Gazety polskiej*.

— Na konkursie *Gazety świątecznej* na powiastkę humorystyczną nagrodę przyznano utworowi p. t. „Przygody Mateusza Jarząbka,“ Wandy z Dowgiełłów Trzcińskiej.

— Z funduszu imienia dr. Adama Helbicha, Towarzystwo lekarskie rozpisało konkurs na temat: „Zmiany chemiczne moczu w przebiegu suchot płucnych.“ Termin nadsyłania rozpraw upłynął z d. 30 z. m. Autor nagrodzonej pracy otrzyma 150 rs.

— Komitet Tow. muzycznego nie przyznał nagrody żadnemu z nadesłanych trzech utworów (tekst do mszy). Wobec tego postanowiono ogłosić nowy konkurs. Nagrody pozostają te same, 25 i 15 rs. Termin oznaczono na 25 b. m.

Rada ogólna uniwersytetu warszawskiego za prace konkursowe przyznała medale następującym studentom: Stanisławowi Chełchowskiemu z 3 kursu nauk przyrodniczych medal złoty, Franciszkowi Błońskiemu z 1 kursu medycyny, Jul. Steinhausowi z 2 kursu tegoż wydziału i Aleksandrowi Wyszyńskiemu z 3 kursu wydz. prawnego, medale srebrne. Nadto Kazimierz Wisłocki z 5 kursu medycyny za rozprawę „Nowe poglądy na leczenie febry,“ otrzymał wzmiankę zaszczytną.

Kara. Redaktor dwóch pism lwowskich, Jan z Oleskowa Gniewosz, odsiedział areszt siedmiodniowy za pobicie Płoszczańskiego.

Instytut rolniczo-leśny w Nowej-Aleksandryi (Puławach) ma być przekształcony na szkołę realną ze specyalnymi kursami gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa.

W Zagrzebiu hr. Draszkowicz ofiarował 30,000 guldenów na założenie stowarzyszenia pensyjnego dla kroackich dziennikarzów i literatów.

Swiet pisze: „Z powodu licznych środków, zastosowanych do ludności izraelskiej dla przeszkodzenia obejścia praw i uchylenia się od służby wojskowej, w ostatnich czasach wzrosła znacznie emigracya żydów wzdłuż zachodniej granicy. Emigracya kieruje się zwykle na Hamburg do Ameryki.

Kolej Dąbrowska wystąpiła do władzy komunikacyjnej z podaniem o pozwolenie otwarcia szkoły technicznej dla synów oficyalistów tej drogi.

Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia bydła od pomoru, z powodu zupełnego nieładu w jego zarządzie, zostało po pięciu latach istnienia rozwiązane.

Pociągi kolei Petersburskiej, w celu niesienia pomocy podróżnym, dotkniętym nagłą słabością w drodze, zaopatrzone zostały w skrzynki z lekarstwami i narzędziami lekarskiemi. Podróżni w razie wypadku winni zwracać się do nadkonduktorów, którym nie wolno pobierać za to wynagrodzenia.

Cyklon gwałtowny nawiedził d. 25 czerwca Stokholm i okolice. Najgrubsze drzewa wyrywał z korzeniami i zrzucał dachy. W przystani mnóstwo łodzi wywrócił. Kilkadziesiąt osób utonęło.

Bajki Krasickiego na język rosyjski przełożył dziennikarz petersburski, Rosenblum.

Rektorat szkoły politechnicznej we Lwowie ogłasza konkurs celem obsadzenia posady asystenta przy katedrze nauk inżenierskich. Posada z pensyą 600 złr. będzie nadana przez kolegium profesorów na czas od 1 października r. b. do września 1889 r.

Uniwersytetowi lwowskiemu przywrócono dawny przywilej dygnitarzom pojawiać się w togach i biretach.

Grób Owidiusza odnaleziono w Rumunii we wsi Anadolkivi pod Konstancyą. Poszukiwacze, Cogolnicsanu i Papadopol, o odkryciu swem zawiadomili archeologa rumuńskiego w Bukareszcie, prof. Urechia.

Wydawnictwo „Birżewych Wiedomosti“ zostało na miesiąc zawieszone za naruszenie rozporządzenia, dotyczącego wydawania pism bez cenzury.

Bilety na bale studenckie, koncerty itp. na przyszłość muszą być drukowane po okazaniu pozwolenia władzy naukowej na urządzenie takich zabaw nie inaczej jak z talonami, które dadzą policyi możność rozciągnięcia ścisłej kontroli nad sprzedażą biletów i użyciem pieniędzy stosownie do przeznaczenia.

Szkody wyrządzone przez burzę gradową w pow. miechowskim, według urzędowych obliczeń wynoszą 250,000 rs.

Firma fabryczna „K. Hofrichter“ w Łodzi zwolniła wszystkich swoich robotników z powodu zupełnego zawieszenia produkcyi. Około 400 ludzi pozostało bez zajęcia.

W Poznańskiem p. Józef Czarnecki sprzedał niemcowi Kleinemanowi dobra Zaniemyśl, liczące około 14,000 morgów. Położenie majątkowe nie zmuszało do tego kroku. P. Czarnecki należał do tych, co gorąco przemawiali za potrzebą bronienia roli wszelkimi środkami i siłami.

Na Nowej Pradze utraciło zajęcie około 100 robotników przez zamknięcie oddziału wyrobu drutu w fabryce stali.

Literatura. Nakładem księgarni Żupańskiego i Henmana opuścił prasę szkic biograficzny, oraz pobieżny rozbiór krytyczny działalności literackiej Kraszewskiego, przez Lud. Dębickiego.

W Livorno podczas Bożego Ciała przed kościołem św. Sebastyana zebrał się wielki tłum dla przeszkodzenia procesyi; gdy ta wyszła z kościoła, zebrani rzucili się na nią z wrzaskiem, gwizdaniem i kamieniami, usiłując wydrzeć uczestnikom pochodu świece, krzyże i chorągwie. Wywiązała się krwawa bójka. Użyto wojska. Liczba ranionych znaczna. Aresztowano 62 osób.

Zmarli. Albin Kazimirski w Paryżu, znany oryentalista. Urodził się w Lubelskiem 1808 r. Skończył wydział filozoficzny w uniwersytecie warszawskim. W r. 1830 zaciągnął się pod sztandary, poczem zamieszkał we Francyi, gdzie studyował języki wschodnie. Rząd francuski mianował go dragomanem poselstwa, w tym charakterze bawił długi czas w Persyi, później został naczelnikiem wydziału przy ministeryum. Ważniejsze prace jego: *Dictionnaire français-polonais* w trzech wydaniach, *Dictionnaire arab.-français* w 29 zeszytach (1846 r.), przekład *Koranu* i fragmentów z *Tysiąca nocy*. Z oryginału perskiego na język polski wybornie przełożył *Gulistan* (1876).

— Władysław Bierglel, porucznik marynarki, odebrał sobie życie w Petersburgu. Syn niegdyś inspektora głównego kolei w Król. Polskiem. Ur. w Warszawie 1853 r. i tu do szkół chodził. W 1873 r. skończył korpus morski, gdzie następnie był profesorem. Wysłany za granicę, odbył podróż naokoło świata i sprawozdanie z niej w pismach francuskich umieścił. W *Kosmosie* lwowskim drukował kilka prac, a w *Morskim sborniku* artykuły fachowe. W ostatnich czasach był właścicielem fabryki cementu w Petersburgu.

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs. 20.

Sprostowanie. W nr. 27 na str. 317, szp. 3, w. 47 od góry zam. ekonomicznego winno być *chemiczne.* Str. 316, szp. 3, zam. Kakowski — *Rakowski;* str. 317, szp. 1, w. 39 od dołu zam. norticelli — *vorticelli;* str. 321, szp. 3, w. 8 od dołu zam. sąsiedzkiego — *sędziowskiego;* str. 320, szp. 1, w. 8, zam. Richter — *Richet.*

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczta zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Іюня 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.